



Z PKS Gorzów Wlkp.
e-bilety do Poznania i Szczecina
już od **1 zł**

UWAGA

Bilety od 1 zł dostępne są przy zakupie na www.pks-gorzow.pl

godziny odjazdu autobusów PKS:

Gorzów Wlkp. - Poznań	- 7.00, 15.40
Poznań - Gorzów Wlkp.	- 12.15, 19.00
Gorzów Wlkp. - Szczecin	- 12.30
Szczecin - Gorzów Wlkp.	- 15.10



Codziennie nowe informacje na www.echogorzowa.pl

ECHOGORZOWA.PL

• MIESIĘCZNIK BEZPŁATNY •

• MARZEC 2015 • NR 3/2015

Więc żyjmy, ze wszystkich sił aż po kres swych dni

W określonym wieku człowiek ma więcej przyjaciół i dobrych znajomych na cmentarzu niż w życiu. Taka jest kolej życia i umierania.

I coraz trudniej się z tym pogodzić, choć trzeba. Tak samo trudno pogodzić się z odejściem ludzi, których tylko się znało, szanowało, lubiło... I byli kimś ważnym w życiu miasta i regionu. A w ostatnim cza-

sie, jakby się zmówili, odchodzą jeden po drugim. Ksiądz prałat Witold Andrzejewski, Karol Parno-Gierliński, Stanisław Lisowski...

Bardzo dużo ich różniło, żyli jakby w innych świa-

tach i czym innym się zajmowali, ale mieli jedną cechę, która ich łączyła. Mieli w sobie pasję, która sprawiła, że nie przeszli obok swojego życia. Oni swoje życie dla siebie i dla nas ciekawie, mądrze i

pięknie przeżyli, choć żyli w trudnych czasach. Nie każdy tak chce i potrafi.

Odeszli, a nam żyć trzeba. Na szczęście coś po sobie zostawili. Nie wszystek przecież umarli. Przynajmniej dla tych, którzy pamiętają, coś

im zawdzięczają i chcą z tym żyć. Więc żyjmy, ze wszystkich sił aż po kres swych dni. Jesteśmy to sobie i innym zwyczajnie winni. No i po prostu warto żyć. Tu i teraz, bo innego wyboru nie mamy.

JAN DELIJEWSKI

P.S. Do listy tych, którzy ostatnio odeszli, już po napisaniu tego tekstu, dopisać muszę także Dorotę Kurmin. Była dziennikarką i przyjaciółką ludzi w potrzebie. Miała 43 lata...



Ksiądz prałat Witold Andrzejewski



Karol Parno-Gierliński



Stanisław Lisowski




HOTEL GORZÓW



HOTEL GORZÓW, ul. Walczaka 20, Gorzów Wlkp. e-mail: recepja@hotelgorzow.pl www.hotelgorzow.pl

KALENDARIUM
Marzec 2015

● 1.03.

1899 r. - uruchomiono połączenie kolejowe przez most kolejowy na Warcie i otwarto tzw. dworzec nadwarciański, dziś perony 3 i 4 na dworcu głównym.

1967 r. - zlikwidowano komunikację tramwajową na ul. Warszawskiej od Podmiejskiej do Janic.

1998 r. - przy SP nr 20 w Gorzowie otwarto największą i najnowocześniejszą halę sportowo-widowską w mieście i województwie

2002 r. - ZKS Stilon postawiono w stan likwidacji.

● 2.03.

1999 r. - Jan Majchrowski, dotychczasowy pełnomocnik rządu i p.o. wojewoda został mianowany pierwszym wojewodą lubuskim.

● 3.03.

1995 r. - zm. Janusz Stowik (54 l.), działacz kultury w Sulęcinie i Gorzowie, b. kierownik i naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki UM (1971-1977 i 1983-1995), b. zast. dyrektora Teatru im. Osterwy (1977-1978), współtwórca i inicjator wielu przedsięwzięć kulturalnych w mieście, m.in. Konfrontacji Fotograficznych, Spotkań Teatralnych, Pomorskiej Jesieni Jazzowej.

2009 r. - zm. Witold Karpyza (95 l.), nauczyciel matematyki, działacz harcerski, podróżnik, rysownik i pamiętnikarz.

● 4.03

1941 r. - ur. Hubert Wagner, b. siatkarz i trener, olimpijczyk, b. trener siatkarzy Stilonu (1994-1995), zm. 13.03.2002 r.

1995 r. - zm. Andrzej Wołkowski (82 l.), b. reprezentant Polski w hokeju na lodzie, olimpijczyk, ostatni trener hokeistów Stilonu (1974-1982).

2000 r. - zm. dr Kazimierz Szperka, chirurg, b. dyrektor Wydziału Zdrowia UW (1975-1985) i dyrektor Szpitala Wojewódzkiego (1985-1996); zm. w dniu 70. urodzin.

80. ur. obchodzi Edward Dębicki, cygański kompozytor w Gorzowie, twórca „Terno”.

● 5.03.

1899 - zm. Hermann Paucksch (83 l.), syn tokarza, założyciel zakładów mechanicznych w Gorzowie, honorowy obywatel miasta, fundator fontanny na Starym Rynku.

● 6.03

1920 r. - ur. Józef Czerniewicz, fotograf, kombatan, współzałożyciel i wieloletni prezes Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego (1973-1983), kierownik Małej Galerii GTF, zm. w 1997 r.

1932 r. - ur. Kazimierz Tułłowicz, sybirak, działacz spółdzielczy, b. prezes PZGS w Gorzowie (1965-1975), następnie wiceprezes WZSR, b. przewodniczący PK FJN (1969-1972), inicjator Związku Sybiraków w Gorzowie i b. przewodniczący koła miejskiego (2000-2006), zm. w 2008 r.

1991 r. - zm. Paweł Zacharek (74 l.), kapitan żeglugi śródlądowej, legendarny przewoźnik na Warcie. ■

Gorzowianie Roku 2014 zostali nagrodzeni

Po raz kolejny przyznano tytuły Gorzowianina Roku dla znaczących osobowości życia miejskiego.

- Zarówno w pierwszym rozdaniu, jak i w drugim chodziło nam o to, aby docenić osobowości, które dokonują czegoś ważnego, aby docenić wartość dodaną, którą te osoby naszemu miastu czynią - mówił Jan Delijewski podczas Balu Kultury, Dzieniarkarzy i Sportu, jaki odbył się w restauracji Symfonia przy ul. Marcinkowskiego, a którego częścią stało się wręczenie nagrody Gorzowianina Roku 2014.

Nagrodę tę po raz drugi przyznały siły połączone trzech redakcji: portalu www.echogorzowa.pl, Telewizji TeleTop oraz redakcji dwutygodnika „Strywald. Bliśko Ciebie”. Redaktor naczelny www.echogorzowa.pl Jan Delijewski przypomniał tylko, że po raz pierwszy nagroda ta w pięciu dziedzinach została przyznana w ubiegłym roku. Wówczas laureatami zostali: w kategorii przedsiębiorczość - Jan Kordacz; społeczeństwo - Augustyn Wiernicki; nauka i edukacja - prof. PWSZ dr hab. Paweł A. Leszczyński; kultura - Bogusław Dziekański i sport - Zenon Michałowski.

W tegorocznych wyborach kapituła nagrody właśnie o laureatów z ubiegłego roku się powiększyła. I laureaci



Gorzowianie 2014 Roku. Stoją od lewej: R. Kulczycki, A. Czyżewska, E. Przybylska, prezydent J. Wójcicki, W. Zieliński.

mieli równoważny głos w wyborach, jak pierwsi członkowie kapituły, czyli naczelny {www.echogorzowa.pl}; Romuald Liszka - dyrektor TeleTopu i Waldemar Strychanin - prezes sieci farmaceutycznej Strywaldu i fundacji wydającej dwutygodnik „Strywald Bliśko Ciebie”.

Tegoroczne nagrody „Gorzowianina 2014” trafiły w godne ręce. Przedsiębiorcą roku został Wawrzyniec Zieliński, szef firmy Poraj i między innymi Karczmy Pod Łosiem, ale także zakręcony

na punkcie choćby historii miasta Gorzowa regionalista, który tworzy własną kolekcję pamiątek wielkości gospodarczej miasta, który ma misję upamiętniania dobrych chwil zarówno historii Landsbergu, jak i powojennego Gorzowa. - Jestem maksymalnie wzruszony. Przecież za poprzedniej władzy w mieście nikt nigdy by nie pomyślał, aby mnie w jakikolwiek sposób uhonorować - mówił.

W kategorii społeczeństwo nagroda trafiła w ręce pani

Ewy Przybylskiej, animatorki Stowarzyszenia na Rzecz Osób z Autyzmem. - Cieszę się bardzo, że w końcu w Gorzowie ktoś zobaczył i docenił właśnie problem osób z autyzmem - mówiła.

W dziedzinie nauki i edukacji laur przyznano prof. dr hab. Elżbiecie Skorupskiej-Raczyńskiej, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Kapituła nagrody dostrzegła profesurę belwederską oraz doktorat honoris causa Uniwersytetu z Iwano-Frankowska. Bo te

dwa zaszczyty otrzymała pani profesor w ubiegłym roku i dzięki nim stała się pierwszym naukowcem z Gorzowa, który dostał takie laury. Pani profesor osobiście być nie mogła. Statuetkę oraz dyplom w jej imieniu odebrał kanclerz uczelni, Roman Gawroniak.

W dziedzinie kultury statuetkę odebrała Alina Czyżewska, aktorka i animatorka oraz twarz ruchu społecznego Ludzie dla Miasta. Kapituła doceniła jej zaangażowanie na rzecz kulturowych działań alternatywnych.

Natomiast w dziedzinie sportu nagroda poszła w ręce dr. Ryszarda Kulczyckiego. Ikona polskiego, bo nie tylko gorzowskiego, tenisa stołowego została doceniona za całość swoich działań. Bo jak mówili organizatorzy - nagradzać trzeba nie tylko za bieżące rzeczy, ale i za to, co się dla kultury fizycznej przez lata w tym mieście zrobiło.

Organizatorem balu było Miejskie Centrum Kultury i Stowarzyszenie Promocji Kultury Kamienica, a sponsorem Galeria NovaPark. Naszym laureatom osobiście gratulował i dziękował prezydent Jacek Wójcicki.

RENATA OCHWAT

Wyboista droga szpitala do jakości

Gorzowski szpital zakończył ubiegły rok z dodatnim wynikiem finansowym.

Zdołał przy tym spłacić 11 milionów zadłużenia wobec swojego właściciela, którym jest samorząd województwa. Dokładnego bilansu finansowego oficjalnie jeszcze nie ma, bo - jak tłumaczy prezes szpitala dr Piotr Dębicki - w tej chwili trwa przygotowywanie sprawozdania finansowego. Spółka ma czas do końca marca.

- Bilans za ubiegły rok jest ogólnie znany i są to wiadomości krzepiące. Z punktu widzenia członka rady nadzorczej mogę powiedzieć, że najtrudniejszy etap budowy nowej formuły prawnej jest już za nami a zarząd spełnia swoje zadania w 100 procentach -

mówi mecenas Jerzy Wierchowicz.

W ocenie prezesa Dębickiego oraz mec. Wierchowicza przed szpitalem stoją kolejne ważne zadania do realizacji. W tym dalsze inwestycje oraz ciągłe podnoszenie standardu jakości usług. Już ruszyła między innymi wymiana ośmiu wind, która odbywa się etapami i potrwa do lipca. Za całość prac szpital zapłaci z własnych środków, a będzie to kwota dwóch milionów złotych.

- Najważniejszym naszym celem na najbliższe miesiące jest uzyskanie akredytacji jakości ministra zdrowia - przyznaje prezes Piotr Dębicki. - Droga ku temu jest wyboista,

wymaga ciężkiej pracy całej załogi, a o tym jak trudno uzyskać taką akredytację świadczy fakt, że w naszym województwie tylko szpital w Międzyrzeczu ją posiada - tłumaczy.

Jerzy Wierchowicz zwraca uwagę, że w przypadku uzyskania akredytacji łatwiej będzie szpitalowi o kolejne środki finansowe na rozwój czy wyższy kontrakt z Narodowym Funduszem Zdrowia. Akredytacja jakości oznacza, że w danej placówce zostały wypracowane właściwe procedury medyczne. W takim przypadku pacjentom gwarantuje się utrzymanie równej, wystandaryzowanej jakości usług. Nie-

wiele placówek w kraju dopracowało się takiego systemu, bo jest to trudna sprawa do realizacji. Na około tysiąca szpitali dokumentem tym może pochwalić się zaledwie 180 i to one stanowią polską ekstraklasę.

Innym pilnym zadaniem stojącym przed placówką jest wdrożenie pakietu onkologicznego. Realizacja tego zadania wzbudza pewne obawy środowisk lekarskich nie tylko w Gorzowie, ale w całym kraju. Jak mówi Jerzy Wierchowicz, w ocenie części lekarzy pakiet ten nie zapewnia należytego bezpieczeństwa pacjentom. Prezes Dębicki dodaje, że nie wie do końca jak ten pakiet

będzie funkcjonował, ale najważniejsze, że udało się wzmocnić stan osobowy lekarzy.

- W chwili rozpoczynania działalności w nowej formule prawnej było o około 50 lekarzy mniej niż teraz - mówi prezes. - Notujemy jeszcze pewne braki, ale nie wpływają one w sposób istotny na działalność placówki. Problemem zaczyna być, z bliżej nieokreślonych powodów, rosnący szturm pacjentów na nasz szpital. Większość oddziałów pracuje na pełnych obrotach, na niektórych nasze możliwości już się wyczerpują - zauważa.

RB

Pół roku wadził się z Bogiem, że nie chce być księdzem

30 stycznia 2015 r. po ciężkiej chorobie zmarł ksiądz Witold Andrzejewski. Był wielką postacią w historii Gorzowa.

Ksiądz Witold Andrzejewski był najbardziej znanym i rozpoznawalnym duszpasterzem w Gorzowie. Decydował o tym niepospolity życiorys duszpasterza „Solidarności” oraz jego nakierowanie na drugiego człowieka. Przez 25 lat był proboszczem parafii przy ul. Mieszka I. Zanim został księdzem, był wybitnym aktorem gorzowskiego Teatru Osterwy, który jako jedyny miał wierny fan-club, który do końca życia księdza żałował, że jednak zamienił scenę na ambonę.

Przyszły prałat i charyzmatyczny ksiądz Witold Andrzejewski urodził się w Kownie, bo tam zawierucha wojenna zagnała panią Jadwigę, matkę Witolda. Urodził się 5 kwietnia 1940 roku. W tym samym miesiącu sowici zamordowali jego ojca w Katyniu. Ksiądz Andrzejewski jednak wielokrotnie podkreślał, że choć ojca nigdy nie znał, to jednak istnieje silna duchowa więź właśnie pomiędzy nimi.

Potem pani Jadwiga tułała się z małym Witkiem po kraju. Drogi zawiodły ich do Wrocławia, skąd jednak w krótkim czasie UB ich wyrzuciło. - A jednak mieliśmy szczęście, bo przecież mogli nas zwyczajnie rozstrzelać - wspominał ksiądz Andrzejewski.

Ostatecznie drogi zawiodły ich do Łodzi i tam rodzina zakotwiczyła na dłużej. To tu przyszły prałat skończył Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika i tu dostał się do szkoły teatralnej, dziś popularnej „Filmówki”.

Ale jak wiele razy opowiadał, nie chciał być aktorem, a w każdym razie o tym nie myślał, ale jakoś tak się złożyło, że w ogólniaku brał udział w każdej akademii i każdym wydarzeniu artystycznym i dzięki temu miał w miarę przyzwoite stopnie z matematyki, bo jak sam o sobie mówił, akurat z tego przedmiotu był okropnym osem. Okoliczności sprawiły, że nie dane było jednak Witoldowi Andrzejewskiemu dokończyć studiów. Razem z nim z łódzkiej szkoły wyleciał także Jan Nowicki. On skończył szkołę w Krakowie i tam został, a Witold Andrzejewski trafił do gorzowskiego Teatru Osterwy, który po przerwie odradzał się na nowo, jaka stała scena miejska. - Szukałem takiego teatru, w którym mógłbym grać i



Ksiądz Witold Andrzejewski był najbardziej znanym i rozpoznawalnym duszpasterzem w Gorzowie.

który byłby stałą sceną. A Gorzów mi właśnie dawał taką możliwość. I właśnie tu zrobiłem uprawnienia zawodowe - wspominał nie raz. Na gorzowskiej scenie zagrał wszystko, był i halabardnikiem, i chłopcem od gnoju, co jak podkreśla, było nawet interesującym doświadczeniem. Aż przyszedł pamiętny 1965 rok. To wtedy Witold Andrzejewski, szalenie wówczas popularny gorzowski aktor, usłyszał głos Boga. - Ja się przez pół roku wadziłem z Bogiem, że nie chcę być księdzem - mówił wielokrotnie przyszły prałat. I jak tłumaczył, widać Bóg dobrze wiedział co robi, bo ostatecznie podjął decyzję o wyborze drogi duchownego.

Gorzowska katedra w noc stanu wojennego w dużej mierze za jego sprawą była oazą wolności.

Przyszły prałat ukończył Wyższe Seminarium Duchowne diecezji gorzowskiej. Po zakończeniu studiów został skierowany na wikariat do parafii przy Mieszka I, do której zresztą po latach trafił jako proboszcz. Potem był wikariat w parafii katedralnej, najważniejszym kościele diecezji. Następnie króciutki epi-

zod przy ul. Strażackiej i w końcu 25 sierpnia 1989 roku został proboszczem parafii przy ul. Mieszka I, czyli tej, od której zaczynał duszpasterską posługę w Gorzowie.

Kiedy zostawał proboszczem, już otoczony był sławą bezkompromisowego, uczciwego i odważnego kapłana. - On był moim guru, jeszcze od czasów liceum. Zaczęło się to wszystko podczas naszych warszawskich pielgrzymek. Pamiętam, że przyjeżdżaliśmy na kilka dni przed wyściem na Jasną Górę, uczyliśmy się śpiewać patriotycznych i powstańczych piosenek i potem 1 sierpnia śpiewaliśmy je przy grobach powstańców warszawskich. To było takie niepojęte. Gorzowski ksiądz, tu w Warszawie robi takie rzeczy i to w takim czasie - opowiada ksiądz Zbigniewa Samociak, były długoletni proboszcz gorzowskiej katedry.

Sławę proboszcza wybudowało także Duszpasterstwo Akademickie, jakie ks. Andrzejewski założył jeszcze w katedrze. To wtedy dorobił się ksywki Szef, którym przez całe życie zwracali się do niego jego duchowi wychowankowie. Wśród nich nie brakuje znanych gorzowian.

To właśnie gorzowska katedra w noc stanu wojennego w dużej mierze za jego

sprawą była oazą wolności. To tu pół miasta gromadziło się na słynnych kazaniach księdza Andrzejewskiego. I jak mówi prof. dr hab. Dariusz A. Rymar, badacz dziejów najnowszych Gorzowa, słowa kapłana były skrupulatnie nagrywane, przepisywane i analizowane. Do najsłynniejszych kazań z tamtych lat należało to po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki, w którym ksiądz Andrzejewski snuł przypuszczenie, że kto wie, bo może następną ofiarą systemu będzie i on sam.

Już po przełomie demokratycznym, kiedy religia weszła do szkół, ksiądz proboszcz zaczął jej uczyć w nieistniejącej dziś Szkole Podstawowej nr 8 przy ul. Dąbrowskiego. Chciał, bo jak tłumaczył, bardzo lubił młodzię i kontakt z nimi. W tym samym czasie został duszpasterzem „Solidarności”, co akurat jest łatwe do zrozumienia, bo przez całą noc stanu wojennego wspierał „Solidarność”, pomagał w trudnych sytuacjach. To u niego w parafii przechowywany był sztandar gorzowskiej Solidarności. Został też duszpasterzem środowisk kresowych, a nawet policji. - Policja sama o to poprosiła. To stało się po śmierci mego przyjaciela, księdza Jana Pikuly, proboszcza przy ul.

Czereśniowej - mówił ksiądz Witold i żartował, że taka jest przewrotność losu. Bo najpierw funkcjonariusze go prześladowali, a teraz potrzebują jego opieki duchowej.

Ale charyzmatyczny proboszcz był w pewien sposób także duszpasterzem gorzowskiego środowiska artystycznego. Bywał w teatrze i Jazz Klubie Pod Filarami. Przez kilka lat pracował w Radiu Gorzów, gdzie prowadził audycję „Anioł Pański”.

Za zasługi dla miasta i jego mieszkańców ksiądz Witold Andrzejewski w 2007 roku, roku 750. urodzin miasta został Honorowym Obywatel. W tym samym roku został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski za działalność w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Ponadto prezydent RP Bronisław Komorowski nadał pośmiertnie śp. prałatowi Witoldowi Andrzejewskiemu za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

Ksiądz prałat Witold Andrzejewski spoczął na cmentarzu przy ul. Żwirowej, w grobie, w którym pochowana jest jego matka.

RENATA OCHWAT

KALENDARIUM Marzec 2015

● 7.03
1927 r. - ur. dr Jerzy Hrybacz, ekonomista, b. działacz opozycyjny, b. radny WRN (1988-1990), Rady Miejskiej (1994-2006), b. poseł (1991-1993), b. prorektor PWSZ (2003-2007), zm. w 2013 r.

● 8.03
1969 r. - po 11 latach kierowania miastem Zenon Bauer (1913-2012) został zmuszony do złożenia rezygnacji; nowy przewodniczącym Prezydium MRN został Jan Telec, były I sekretarz KM i PZPR.
1975 r. - zm. Andrzej Kończak (75 l.), kupiec, powstaniec wielkopolski i pionier miasta, założyciel sklepu „Kaczorek”.
51. ur. obchodzi Dariusz Maciejewski, trener gorzowskich koszykarek.

● 9.03
2009 r. - rozebrane zostało kino „Kopernik” działające w l. 1975-2007.
1999 r. - zm. Weronika Nowicka (91 l.), pionierka Gorzowa, pedagog, choreograf działacz kultury, nauczyciel tańca i rytmiki w gorzowskich szkołach i placówkach kulturalnych.

● 10.03
1961 r. - decyzją ministra gospodarki komunalnej zamknięty został oficjalnie poniemiecki cmentarz ewangelicki przy ul. Walczaka, dziś park Kopernika.
1900 r. - ur. Jan Lisowski, nauczyciel, działacz sportowy, żołnierz AK i pionier miasta, współorganizował Miejskie Gimnazjum i Liceum (I LO) i nauczyciel matematyki (1945-1971), pionier gorzowskiego sportu, propagator piłki ręcznej, koszykówki, a zwłaszcza - tenisa ziemnego, zm. w 1985 r.

1971 r. - zm. ks. Edmund Nowicki (70 l.), biskup gdański, pierwszy administrator apostolski w Gorzowie (1945-1951)

● 11.03
1939 r. - ur. Edward Borowski, inżynier elektryk z EC, działacz związkowy, współorganizator MKZ i pierwszy przewodniczący Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność”, działacz struktur podziemnych, zm. w 1987 r.

1963 r. - zm. prof. dr Stanisław Kirkor (58 l.), lekarz weterynarii, badacz pszczoł, twórca polskiej apiopatologii i współorganizator gorzowskiego środowiska naukowego, od 1956 r. w Swarzędzu, gdzie założył skansen pszczelarstwa.

● 13.03
1998 r. - gorzowscy i zielonogórcy parlamentarzyści podpisali w Paradyżu dokument w sprawie organizacji woj. lubuskiego.

86. ur. obchodzi Jerzy Baczkowski, b. działacz partyjny i sportowy, b. prezes OZLA w Gorzowie (1976-1980), pierwszy prezes Klubu Olimpijczyka, ostatnio prezes Stowarzyszenia na Rzecz Pomocy i Bezpieczeństwa Dzieci i Młodzieży w Gorzowie.

60. ur. obchodzi Małgorzata Korzeniowska, łuczniczka, brązowa medalistka paraolimpiady w Sydney.

KALENDARIUM
Marzec 2015
14.03

1958 r. - na trasie Gorzów-Zielona Góra pojawił się pierwszy autobus marki „Leyland”; przejeżdżał tę trasę w 2 godz. 15 min.; dotychczasowe „Stary”; potrzebowały prawie 4 godzin.

1993 r. - Ministerstwo Edukacji Narodowej zatwierdziło nowy program nauczania w II LO, oparty na amerykańskim systemie oceniania i organizowania nauki, wdrażany od września 1993 r.

2006 r. - zm. Zdzisław Piaskowski (73 l.), jubiler i b. piłkarz, właściciel najstarszego sklepu jubilerskiego w mieście, jeden z piątki braci, grających niegdyś w KS Warta.

15.03

1946 r. - po trzech tygodniach podróży do Gorzowa przybył transport ok. 500 repatriantów z Pawłodaru w Kazachstanie.

1985 r. - ur. Aleksandra Piotrowska, koszykarka AZS PWSZ, złota medalistka MP junierek (2003), zm. podczas meczu w 2003 r.

1993 r. - zm. Febronia Gajewska-Karamać (88 l.), gorzowska nauczycielka i działaczka charytatywna, b. wykładowczyni przedmiotów zawodowych w Technikum Gastronomicznym (1946-1978), patronka Zespołu Szkół Gastronomicznych.

16.03

1965 r. - otwarto nowo zbudowany Klub Międzynarodowej Prasy i Książki (MPIK), ostatnio była to księgarnia „Empik”.

1984 r. zm. - Jan Korcz (79 l.), artysta-malarz, pionier Gorzowa, uczestnik organizator słynnej „akademii pana Jana” dla plastyków-amatorów.

68. ur. obchodzi Wojciech Mickunas, syna Jana Mickunasa, trener i popularyzator jeździectwa, olimpijczyk, właściciel ośrodku w Baczynie.

17.03

1819 r. - spalił się po raz pierwszy wiatrak przy Krowim Grodzie, od którego wzięła się nazwa ul. Wiatracznej.

1857 r. - konstruktor maszyn Carl Jaehne wybudował fabrykę maszyn na Frydrychowie, dziś 11 Listopada 157-164.

1982 r. - otwarto nową księgarnię wojewódzką przy ul. Hawelańskiej 9-10, później otrzymała imię Wł. Korsaka.

2008 r. - zm. Marcin Balak (66 l.), były komendant wojewódzki OHP w Zielonej Górze (1973-1976) i w Gorzowie, b. wiceprezydent miasta (1984-1989) i b. dyrektor PWiK (1999-2006).

81. ur. obchodzi Jan Gabriel Maria Kwilecki, wufista, jeden z pierwszych dyplomowanych nauczycieli wf w Gorzowie, potomek hrabiowskiej rodziny dziedziców z Kwilcza.

35. ur. obchodzi Michał Jeliński, wioślarz, b. mistrz olimpijski i mistrz świata.

Wcale nie chodzi tu o prestiż, dumę czy ambicje

Zapomnijmy już o województwie lubuskim, bo go nie ma.

Zapomnijmy o województwie z dwoma równoprawnymi stolicami rozwijającym się harmonijnie i zgodnie. Zapomnijmy o tzw. umowie paradyskiej i wszystkim, co się z nią wiąże, a nie zostało zapisane konstytucji czy ustawach sejmowych. Mamy bowiem już województwo zielonogórskie w pełnej krasie, choć oficjalnie nazywane dalej lubuskim.

Gorzów, gorzowianie i gorzowscy politycy byli potrzebni jedynie do powstania tego województwa i jego trwania, ale już na zielonogórskich warunkach. Teraz mamy zielonogórski dyktat, którego skutków na różnych płaszczyznach doświadczamy i będziemy doświadczać aż po kres tego województwa. Raz zdobytej władzy i przewagi Zielona Góra już nie odda, choćby gorzowianie prosili, grozili i różne rzeczy opowiadali.

Odwołanie ze stanowiska wojewody Jerzego Ostroucha i powołanie na jego miejsce Katarzyny Ososs jest tylko przykładem i dowodem na ostateczne przekreślenie tego, co legło u podstaw powołania województwa. Zielonogórska koteria partyjno-polityczna uznała, że skoro nie może już mieć u siebie urzędu wojewody, to może mieć za to swojego wojewodę, który będzie na tyle lubuski, na ile mu pozwolą. I co



Wojewoda dla lubuskiego wiele zrobić może...

z tego, że wielu gorzowskich polityków jest wręcz oburzonych tym co się stało i dzieje? Nie kiwną przecież palcem, by coś zmienić. Będą jedynie zabiegać, by coś nam skapnęło do Gorzowa, a jak już skapnie, otrąbią to jako osobisty lub partyjny sukces. Bo idą wybory, bo mają swoje interesy, bo mają coś jeszcze do ugrania lub stracenia... Na pospolite ruszenie mieszkańców też trudno liczyć, bo niby kto i jak miałby je zorga-

nizować? I wcale nie chodzi tu o prestiż, dumę czy ambicje. Gra idzie o rozwój, o ostatnie takie pieniądze unijne na inwestycje i prorozwajowe działania, które za kilka lat się skończą, i kto na tym wygra, ten będzie na długie lata urządzony.

Na razie Zielona Góra pod każdym względem urządza siebie i to w trybie przyspieszonym. Przy naszej milczącej aprobacie.

LESZEK ZADROJC

Do akademii droga na skróty

U zarania dziejów woj. lubuskiego na sesji sejmiku w Gorzowie uchwalono strategię rozwoju województwa.

Zapisano w niej m.in. powołanie Uniwersytetu Lubuskiego. Niewiele dni potem na spotkaniu grupy polityków w Zielonej Górze z rektorami Politechniki Zielonogórskiej i WSP postanowiono o powołaniu Uniwersytetu Zielonogórskiego. I powstał UZ.

Niedawno sejmik woj. lubuskiego przyjął uchwałę, która ma wspierać powołanie Akademii Gorzowskiej z przyłączenia Zamiejscowego Wydziału Kultury Fizycznej poznańskiej AWF do Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Rektor AWF na to: hola, mości panowie i panie, nie tak prędko. I Akademia Gorzowska prędko nie powstanie. I nie dlatego, że takie jest widzimisię poznańskiego rektora profesora Jerzego Smorawińskiego. Na przeszkodzie stoją bowiem poważne argumenty natury formalno-prawnej, materialnej i ludzkiej. Wygląda więc na to, że lansowana mocno w ostatnim czasie droga na skróty do akademii okazała się ścieżką

na manowce, szczególnie dla pracowników AWF, a oni tam się wybrać nie zamierzają. Przynajmniej przez najbliższe trzy lata.

W tej sytuacji oczekiwałbym od rektora profesora Jerzego Smorawińskiego potwierdzenia ubiegłorocznej deklaracji o własnej drodze gorzowskiego wydziału do akademii poprzez usamodzielnienie placówki i utworzenie akademickiej szkoły wyższej na dobry początek. Nic jednak takiego nie zostało jednak przypominiane. Mimo iż Gorzów spełnił oczekiwania poznańskiej uczelni w tym zakresie, kupując akademickie obiekty i zasilając konto AWF pieniędzmi niezbędnymi na dokończenie remontu budynku dydaktycznego przy ul. Orłąt Lwowskich.

W najbliższych latach raczej nie będzie więc w Gorzowie ani samodzielnej akademii, ani akademickiej szkoły wyższej.

I nie ma to mocnych?

JAN DELIJEWSKI



Samodzielnej akademii w Gorzowie jak nie było, tak nie będzie...

Dopóki rząd RP nie pozwoli trochę popieprzyć

Przepraszam, ale to są jakieś jaja i to mocno przesolone!

Od początku roku w barach mlecznych nie wolno używać żadnych przypraw, poza solą, bo stracą one państwową dotację, która sprawia, że było tam na ogół nie tylko smacznie, ale i tanio. To konsekwencja „doprecyzowania” ministerialnego rozporządzenia z listą zakazanych w barach mlecznych produktów, jeśli nie chcą stracić dofinansowania.

Sprawą tego absurdu zajęły się już media w całym kraju. Piszą o tym poważne gazety, śmieją się z tego w

radiu i telewizji, choć smaczoszom m.in. gorzowskiego baru Agata wcale nie jest do śmiechu. Ministerstwo Finansów obiecuje doprecyzować „doprecyzowanie”, by jednak potrawy w barach mlecznych miały choć trochę smak potrawy przyprawionej nie tylko solą. Miłośnicy barowego jedzenia głośno jednak nie protestują, jeszcze nie strajkują, ale dziwią się i nadziwić się nie mogą tej ministerialnej radosnej twórczości, która ma zożydzić jedzenie w barach mlecz-



Fot. i grafika Stanisław Miklaszewski

nych. A może właśnie o to chodziło, żeby zniechęcić naród do tanich zup, pierogów i naleśników serwowanych z państwową dopłatą, by państwo mogło zaoszczędzić, doprowadzając

w ten sposób do likwidacji mlecznych barów? Bo przecież potrzebne są tzw. środki finansowe chociażby na dopłaty dla górników, emerytury służb mundurowych i jak najbardziej prywatne kolacje najważniejszych państwowych urzędników płacone z pomocą służbowej karty. Przyprawy w barach mlecznych mogą więc być znakomitą pomocą do tego celu.

Kiedy wchodziliśmy do Unii Europejskiej, straszono nas opowieściami, że UE uregułuje i wyreguluje nam

tak wszystko, że krzywizna banana czy wielkość ogórka to będzie małe jajeczko w porównaniu z tym, co nasz czeka. No i mamy mleczno-barowe jaja, ale nie jestem przekonany, że europejscy urzędnicy mają coś z nimi wspólnego. Polski urzędnik też przecież potrafi!

Na szczęście nikt nie zabronił przychodzić do baru mlecznego z własnymi przyprawami. Dobrze o tym pamiętać, wybierając się chociażby do gorzowskiej Agaty na ul. Sikorskiego. Smacznego!!!

JAN DELIJEWSKI

● trzy pytania do...

W budżecie miasta muszą być środki na rozwój akademii

Prof. Jerzego Smorawińskiego, rektora AWF w Poznaniu

- Skąd wzięło się więc przekonanie, że wystarczy zgoda władz poznańskiego AWF na przekazanie gorzowskiego wydziału do PWSZ i będzie można utworzyć akademię?

- Odpowiedź wprost byłaby bardzo trudna, ale wszyscy wiemy, jakie jest zachowanie różnych środowisk w okresach kampanii wyborczych, a tych ostatnio nie brakuje. Z reguły politycy tylko w niewielkiej części wypełniają swoje wyborcze obietnice i zapewne nigdy nie zainteresowali się dogłębnie, jaką drogę trzeba pokonać do utworzenia akademii. Być może zamieszanie wynika też z nadmiernego optymizmu, jaki się pojawił, kiedy przywołano casus Akademii Sztuki w Szczecinie. Tam była jednak wyjątkowa sytuacja, kiedy zezwolono na utworzenie akademii, choć jednostka miała jeden wydział z uprawnieniami do doktoryzowania, ale otrzymała vacatio legis na powołanie drugiego takiego wydziału. Uczelnia miała ponadto silne wsparcie w parlamentarzystach, którzy niemal jednogłośnie przyjęli uchwałę powołującą akademię. W naszym przypadku teoretycznie można byłoby spróbować „przepchnąć” temat przez sejm, ale czy lubuscy posłowie byłiby na tyle silni, że doprowadziliby do drugiego takiego wyjątku? W czasie najbliższych dwóch kampanii wyborczych jest to nierealne. Ponadto na pewnym etapie pojawił się niejasny dokument interpretacyjny ministra nauki i szkolnictwa wyższego dotyczący wcielenia lub przyłączenia jednej jednostki uczelnianej do drugiej. W zeszłym tygodniu dostałem jasną odpowiedź, z której wyni-



Fot. Robert Borowy

ka, że nie ma znaczenia, jak to nazwiemy, ale w każdym przypadku jednostka wcielana do drugiej z automatu traci prawo do doktoryzowania i musi nastąpić ponowna weryfikacja. A ta trwa od kilku do kilkunastu miesięcy.

- Wiemy, jakie warunki trzeba w przypadku Gorzowa spełnić, żeby starać się o powołanie akademii, ale jak to miało wyglądać technicznie?

- Mając przygotowany pakiet odpowiednich dokumentów, z których jednoznacznie wynika, że zainteresowane jednostki spełniają kryteria potrzebne do powołania akademii, należy wystąpić z poselskim wnioskiem. Potem trzeba ten pomysł obronić podczas posiedzenia sejmiku w taki sposób, żeby posłowie przyjęli odpowiednią uchwałę. Ale tu muszę jeszcze zwrócić uwagę na istotną rzecz. W przypadku połączenia naszego wydziału z PWSZ nowa uczelnia nie będzie mogła liczyć na finansowe wsparcie z budżetu państwa, jakie otrzymują jednostki powstałe w wyniku połączenia dwóch uczelni na okres pięciu lat. Tu słowo uczelnia jest słowem kluczowym. Gorzowski wydział nie

jest uczelnią i konsekwencje tego są brutalne. To w budżecie miasta muszą być zaplanować pewne środki na rozwój akademii. W tej sprawie będę niebawem rozmawiał z prezydentem Jackiem Wójcickim.

- Po okresie pewnych problemów dzisiaj poznański AWF stoi na mocnym gruncie. Po co w takiej sytuacji pozbywać się gorzowskiego wydziału i osłabiać prestiż uczelni w krajowej hierarchii?

- Prawdą jest, że dzięki wydziałowi gorzowskiemu jako uczelnia jesteśmy mocniejsi. Wskazują na to liczby. W całej strukturze AWF pracuje 400 osób, z czego sto w Gorzowie. W tym 50 nauczycieli akademickich i to ma pewien wpływ na potencjał całej uczelni, która w skali kraju ma określoną wartość. I to również powinno brać się pod uwagę w trakcie różnych dyskusji. Jesteśmy jednak gotowi do przekazania gorzowskiego wydziału w strukturę nowej jednostki uczelnianej, jaką ma być akademie, choć na tym prestiżowo stratujemy. Chcemy wyjść na przeciw społeczeństwu oczekiwaniu i uczestniczyć w stworzeniu mocnej jednostki w Gorzowie, bo taka jest tu potrzeba, zwłaszcza w obliczu niżu demograficznego. Ale musimy zrobić to na zasadach zgodnych z prawem. Ważne są też kierunki, które będą rozwijane. Powinno się postawić na kierunki mające duże zainteresowanie wśród studentów i dające im szansę na pracę w przyszłości. O tym również należy dyskutować.

RB

Można u nas zrobić także uprawnienia na śmigłowce

Ryszard Chwalisza, przedsiębiorcy i organizatora pikników lotniczych Trzebiczu Nowym

- Co się kryje pod nazwą Agroturlot, za którą pan stoi?

- Dotychczas była to nazwa strony internetowej, która przyjęła się nie tylko w środowisku lotniczym, a prezentującej m.in. wydarzenia na naszym lotnisku w Trzebiczu Nowym koło Drezdenka. Od niedawna pod tą nazwą kryje się już spółka. Jej prezesem jest Mariusz Kaczmarek i dosyć mocno rozszerzyliśmy działalność nie tylko lotniczą.

- Na czym polega to rozszerzenie?

- Przede wszystkim oferujemy hangarowanie samolotów ultralekkich i motolotni. Często ich właściciele nie mają co z nimi zrobić, szczególnie w okresie zimowym. W Trzebiczu Nowym można skorzystać z hangaru, a do tego z fachowego serwisu technicznego. Można oczywiście korzystać z pasa startowego. Ważną sprawą dla wielu posiadaczy statków powietrznych jest to, że za wszelkie usługi otrzymują fakturę. Poza tym oferujemy kompleksowe szkolenia lotnicze. Załatwiamy wszystko od kursu poprzez specjalistyczne badania lekarskie po egzamin. Współpracujemy z firmą Salt Aviation i dzięki temu można u nas zrobić także uprawnienia na śmigłowce. Ciągłe myślimy o przyszłości i rozwijamy się. W związku z tym chcemy niebawem zorganizować szkołę modelarską dla młodzieży.

- Co Agroturlot oferuje osobom niezainteresowanym lotnictwem?

RAR



Fot. Ryszard Romanowski

- Nie trzeba koniecznie do nas przylatywać samolotem lub motolotnią. Mamy ofertę dla każdego. Organizujemy konferencje i różne spotkania plenerowe, w tym integracyjne dla firm i turystów indywidualnych. Warto pamiętać, że wokół Trzebiecza Nowego rozciągają się piękne tereny Puszczy Noteckiej. Jest to raj dla przyrodników, myśliwych, wędkarzy i oczywiście grzybiarzy. Zapewniamy noclegi, wyżywienie i takie atrakcje, jak wspólne ogniska, możliwość podróży bryczką i saniami, jazdę konną, wycieczki rowerowe i piesze a nawet loty balonem i skoki spadochronowe. Można wypożyczyć samochód i zwiedzać nim okolice. Partnerem spółki jest zlokalizowany na lotnisku Air Camp wyspecjalizowany w organizacji dyskotek i zabaw. Organizujemy także kuli, jeśli tylko jest śnieg. Można zagrać w tenisa ziemnego lub stołowego, bilard lub bule. Posiadamy także basen i siłownię. Możemy organizować obozy kondycyjne dla sportowców.

KALENDARIUM Marzec 2015

● 18.03

1962 r. - powstała Spółdzielnia Inwalidów „Warta”, wówczas SI „Emeryt”.
1929 r. - ur. Christa Wolf z d. Ihlenfeld, córka landsberskiego kupca, światowej sławy pisarka niemiecka, autorka m.in. powieści „Wzorce dzieciństwa” i „Rozmyślenia nad Christą T.”, poświęconych młodości spędzonej w Gorzowie, zm. w 2011 r.
85. ur. obchodzi Zbigniew Czarnuch, nauczyciel, witnicki działacz regionalny, założyciel słynnej zielonogórskiej drużyny „Makusynów”, od 1981 r. ponownie w Witnicy, założyciel Towarzystwa Przyjaciół Witnicy i inicjator powołania Stowarzyszenia „Pro Europa Viadrina”, autor licznych publikacji historycznych

● 19.03.

1955 r. - W Gorzowie uruchomiony został po raz pierwszy silnik żużlowy, skonstruowany m.in. przy udziale Kazimierza Wiśniewskiego (1925-1996), dzięki tej konstrukcji Stal mogła zostać zgłoszona do rozgrywek II ligi żużlowej.
2007 r. - bazar znad Warty został przeniesiony na nowe targowisko przy ul. Cichocińskiego.
68. ur. obchodzi Marek Piechocki, brat Juliusza, poeta i meloman, propagator muzyki.
66. ur. obchodzi Klara Rawicz-Lipińska, artysta-plastyk, organizatorka i pierwszy dyrektor Liceum Plastycznego w Gorzowie (1994-2004).

● 21.03.

1937 r. - ur. Benedykt Wiśniewski, b. prezydent Gorzowa (1984-1985), organizator i dwukrotny prezes SM „Górczyn” (1979-1984 i 1988-2005), zm. 2014 r.
Urodziny obchodzą:
70. ur. obchodzi Stanisław Adamski, b. piłkarz i trener, wychowanek Stilonu”, b. trener Stilonu i GKP (1979, 1981. 1999-2000), a po 2008 - żeńskiej drużyny TKKF Stilon.

● 22.03.

2004 r. - Tomasz Kucharski i Robert Sycz zostali w Atenach po raz wtóry mistrzami olimpijskimi w dwójce podwójnej.
44. - ur. obchodzi Marzena Wieczorek, aktorka gorzowska.

● 24.03.

1995 r. - zm. Bolesław Kasierski (80 l.), kolejarz i pionier Drezdenka, sędzia piłkarski, b. członek zarządu PZPN i GOZPN w Gorzowie (1976-1991), przewodniczący Okręgowego Kolegium Sędziów (1981-1984).
55. ur. obchodzi Marek Robak, nauczyciel historii, dyrektor Liceum Katolickiego.
54. ur. obchodzi Jerzy Ostrouch, były wojewoda lubuski, ostatni wojewoda gorzowski (1998).

● 25.03.

1992 r. - bullą „Totus Tuus Poloniae Populus” papież Jan Paweł II przemianował diecezję gorzowską na diecezję zielonogórsko-gorzowską z siedzibą w Zielonej Górze.

Długi list od starszej, siedemdziesięcioletniej pani

Justyny Banaszak-Rycharskiej, która prowadzi biuro pośrednictwa partnerskiego

- Pośrednictwo partnerskie to coś w rodzaju biura matrymonialnego?

- Biura matrymonialne głównie kojarzą się ze starymi pannami i kawalerami poszukującymi współmałżonka. Taka forma się przeżyła. Od kilku lat obserwujemy ogromny rozwój internetowych serwisów randkowych. Nikt nie przyznaje się do korzystania z ich ofert, a według statystyk liczba korzystających rośnie lawinowo. Pośrednictwo part-

nerskie to skuteczna odpowiedź na współczesne czasy. Obecnie życie przyspiesza do tego stopnia, że trudno znaleźć chwilę na wybranie życiowego partnera. Dotyczy to ludzi w każdym wieku, którym doskwiera samotność, mimo że na polu zawodowym odnoszą znaczne sukcesy. Niedawno dostałam odręczny, długi list od starszej, 70-letniej pani. Opowiadała, że ogromnie dokucza jej samotność i poszukuje partnera wyłącznie w celu towarzyskim.



Fot. archiwum

- Jak można takim osobom pomóc?

- Uważamy, że zupełnie normalne i naturalne powierzenie naszego zdrowia i życia specjalistom. Jest to powszechnie akceptowane i dziwimy się, jeżeli ktoś z problemami zdrowotnymi fizycznymi lub psychicznymi nie korzysta z pomocy specjalistów. Tymczasem dobór partnerów pozostawiamy własnemu wyczuć, co często kończy się samotnością. Dlaczego więc tak

ważnej w życiu sprawy nie powierzyć specjalistom?

- Na jakiej podstawie odbywa się kojarzenie partnerów?

- Moja praca jest wielopłaszczyznowa. Korzystam z osiągnięć psychologii, pedagogiki i socjologii. Niezwykle ważne jest jak najlepsze zrozumienie potrzeb osoby poszukującej partnera lub partnerki oraz jej oczekiwania wobec drugiej osoby.

RAR

KALENDARIUM
Marzec 2015

● 26.03.

1980 r. - w Klubie Nauczyciela w Gorzowie powstał Gorzowski Klub Szaradzystów „Athena”.

2001 r. - zawiązało się Stowarzyszenie Wodniaków Gorzowskich „Kuna” w celu m.in. rekonstrukcji zabytkowego łodołamacza „Kuna” z 1884 r.

78. ur. obchodzi Anna Szymanek (-Lange), artystka-plastyk, ceramik, która w 1979 r. przeniosła się z Zielonej Góry do Gorzowa.

● 27.03

1947 r. - kra zerwała tymczasowy, drewniany most kołowy na Warcie w Gorzowie; poczta uruchomiła komunikację łożnią motorową do swego urzędu nr 2 przy Grobli; do 5 kwietnia zbudowano kładkę przez rzekę

1945 r. - ur. Wiesław Strebejko, artysta plastyk, scenograf i reżyser, plakacista, zasłużony dla kultury gorzowskiej, zm. w 1994

1955 r. - ur. Aleksander Maciejewski, aktor gorzowski, zm. w 2007 r.

● 28.03.

1945 r. - grupa operacyjna z Wągrowca powołała polską administrację w Gorzowie z burmistrzem Piotrem Wysockim na czele.

1998 r. - Rada Miejska nadała papieżowi Janowi Pawłowi II i Florianowi Kroenke, pierwszemu staroście w Gorzowie, tytuły honorowego obywatela miasta.

69. ur. obchodzi prof. dr hab. Bogdan J. Kunicki, działacz kultury, pracownik naukowy AWF, b. prodziekan (1987-1990) i b. prorektor (1999-2004).

● 29.03.

1998 r. - zm. Kazimierz Lisiewicz (59 l.), b. piłkarz zielonogórski, następnie trener, wielokrotny szkoleniowiec Stilonu i GKP (1971, 1988, 1991, 1992-1993, 1996-1997).

Urodziny obchodzą:

57. ur. obchodzi Alicja Czechowicz-Bukańska, plastyk amator, łuczniczka, wielokrotna medalistka mistrzostw Europy i świata, uczestniczka igrzysk paraolimpijskich w Atenach.

● 30.03.

1909 r. - uliczne latarnie gazowe zaopatrzone w zdalne zapalniki.

1998 r. - zm. Ryszard Świątkiewicz (64 l.), były siatkarz, jeden z twórców gorzowskiej siatkówki, szkoleniowiec siatkarki Unii i Stilonu Gorzów, którzy pod jego kierownictwem w 1961 i 1987 r. awansowali do ekstraklasy.

● 31.03.

1973 r. - oddano do użytku nową linię tramwajową na ul. Kazimierza Wielkiego z mijanką przy ul. Okrzei i nową pętlą przy ul. Czarnieckiego; była to trzecia pętla tramwajowa w mieście.

1973 r. - w Gorzowie oddano do użytku pętlę tramwajową na Piaskach.

1945 r. - ur. Zygmunt Dolinkiewicz, nauczyciel wf w SP nr 9 i 15, wychowawca kilku pokoleń piłkarzy ręcznych, zm. w 1993 r.

Zamordowany przez syna we własnym domu

Policjanci z KP w Międzyrzeczu i KWP w Gorzowie wspólnie rozwiązali zagadkę zniknięcia 57-letniego mężczyzny.

Sprawa, zgłoszona przez rodzinę jako zaginięcie, okazała się zaplanowanym zabójstwem. Policjanci odnaleźli ciało zamordowanego, a pod zarzutem dokonanie zbrodni zatrzymali syna ofiary i jego kolegę. Prokurator przedstawił zatrzymanym zarzuty. Obydwu grozi kara nawet dożywotniego pozbawienia wolności.

Przypadkiem zaginięcia mieszkańca Międzyrzecza policjanci zajęli się w marcu 2014 roku. Wówczas żona 57-letniego mężczyzny zgłosiła, że od kilku tygodni nie ma z nim kontaktu. Policjanci z Komendy Powiatowej rozpoczęli ustalenia w tej sprawie, a po kilku miesiącach nabrali pewności, że wydarzenie to może mieć inny charakter. Do działań śledczych z Międzyrzecza włączyli się funkcjonariusze Wydziału Kryminalnego KWP w Gorzowie. Po kilku miesiącach wspólnej pracy nastąpił przełom. Prowadzący sprawę potwierdzili, że 57-latek nie przebywa na terenie Niemiec, lecz najprawdopodobniej został zamordowany.



Fot. Archiwum policji

Od tego momentu postępowanie prowadzone była dwutorowo. Z jednej strony nadal trwały czynności realizowane w sprawie zaginięcia, z drugiej policjanci docierali do kolejnych informacji potwierdzających wersję zabójstwa. W działaniach wykorzystywano wiedzę i doświadczenie służb kryminalnych oraz nowoczesne techniki operacyjne.

Praca śledczych przyniosła efekt w styczniu tego roku. Policjanci potwierdzili informację o miejscu, w którym zostało ukryte ciało zamordowanego mężczyzny. Okazało

się, że do zbrodni doszło w rodzinnym domu ofiary. Po zabójstwie zwłoki 57-latek przeniesiono do piwnicy. Wszystko wskazuje, że prawdopodobnym oprawcą był syn nieżyjącego, a w dokonaniu zabójstwa pomagał jego kolega. Według ustaleń śledczych przestępstwo było przygotowywane przez kilka tygodni. Obydwaj podejrzewani mężczyźni zostali zatrzymani przez policję i usłyszeli zarzut dokonania zabójstwa. Za popełnienie tej zbrodni grozi im kara nawet dożywotniego pozbawienia wolności.

Uprawiał konopie indyjskie w ukrytej piwnicy

Donice z krzewami marihuany odkryli w piwnicy policjanci zwalczający przestępczość narkotykową z KM Policji w Gorzowie.

Do doskonałe rozpoznanie operacyjne oraz czynności wykonane przez tych samych policjantów pozwoliły zwalczyć kolejne mechanizmy przestępcze. Policjanci dotarli do jednej z podgorzowskich miejscowości. Ich ustalenia wskazywały, że w jednym z pomieszczeń gospodarczych znajduje się uprawa marihuany. Początkowo nic nie wskazywało, że ta informacja może zostać potwierdzona.

Wstępne czynności nie naprowadzały śledczych na trop. Ale doświadczenie policjantów w zwalczaniu przestępczości narkotykowej wzięło górę. Wiedzieli oni, że właściciele plantacji zawsze próbują dobrze ukryć zabroniony prawem proceder. Dlatego dokładnie sprawdzali miejsca,



Fot. Archiwum policji

gdzie uprawa może się znajdować. To się opłaciło. Pod podłogą jednego z pomieszczeń znajdowała się piwnica. Wejście było dobrze zakamuflowane. Na blasze, która zasłaniała i zagradzała wejście, znajdował się ciężki sprzęt rolniczy. W odkrytym

pomieszczeniu policjanci ujawnili 19 donic z krzewami marihuany. Przy tym także profesjonalny sprzęt, który gwarantował optymalne warunki do vegetacji tych roślin: oświetlenie, wentylatory, grzejniki, rury wentylacyjne. Wszystko zostało dokładnie opisane podczas przeprowadzonych przez policjantów oględzin i zabezpieczone. Ponadto policjanci zabezpieczyli kilkanaście tysięcy złotych. Z roślin tych można by uzyskać blisko pół kg marihuany o czarnorynkowej wartości 25 tysięcy złotych. Do sprawy został zatrzymany 25-latek. Przeprowadzono z nim czynności procesowe i zarzut związany z uprawą konopi indyjskich. Grozi mu za to do 3 lat pozbawienia wolności.

Złodziej wsiadł do samochodu i odjechał

Kobieta pozostawiła samochód z włączonym silnikiem, a sama poszła po zakupy.

Kiedy po kilku minutach wróciła, pojazdu już nie było. Stało się w jednej z małych miejscowości woj. lubuskiego Pod sklep podjechała kierująca vw polo. Kobieta pozostawiła kluczyki w stacyjce i włączony silnik, sama natomiast weszła do sklepu zrobić zakupy. Wystarczyła krótka chwila, by okazję wykorzystał nieznany sprawca. Wsiadł do samochodu i odjechał. W ten sposób mieszkanka powiatu żarskiego straciła wartość 3,5 tys. auto. Pamiętajmy, że tak postępując, narażamy się nie tylko na utratę mienia, ale również na mandat. Zgodnie z art. 60 ust. 2 pkt. 1 Ustawy Prawo o Ruchu Drogowym zabrania się kierującemu oddalania się od pojazdu, gdy silnik jest w ruchu.

Zadbajmy o swoje własne mienie, aby nie stać się ofiarą przestępstwa. Wystarczy chwila, aby złodziej skorzystał z okazji i zabrał nasze rzeczy. Do przestępstw dochodzi najczęściej, kiedy na chwilę stracimy z oczu nasze mienie. Złodziej wykorzysta sytuację, kiedy np. pozostawimy tylko na chwilę telefon na stoliku lub torebkę w barze, kiedy udajemy się do toalety lub złożyć zamówienie. Również znane są liczne przypadki, kiedy pozostawiamy niezabezpieczony rower, często z zakupami w koszyku. Tylko na chwilę wchodzimy do sklepu lub na pocztę, a kiedy wracamy już go nie ma. Pamiętajmy, tylko nasze własne postępowanie, przezorność i czujność sprawi, że nikt nas nie okradnie!

Nie stracił prawa jazdy, bo go nie miał

Gorzowscy policjanci zatrzymali na trasie S3 kierowcę, który poruszał się z prędkością 185 km/h.

W tej sprawie policjanci skierowali wniosek do sądu, ale kierowca prawa jazdy nie stracił. Powód? Nie posiadał uprawnień. 27-latek mieszkający w województwie dolnośląskim na odcinku S3 między Gorzowem a Skwierzyną, gdzie obowiązywało ograniczenie prędkości do 120 km/h, poruszał się z szybkością 185 km/h. Policjanci chcieli sprawdzić prawo jazdy. Niestety nie było to

możliwe. I przyczyną nie było roztargnienie, przez które 27-latek zapomniał dokumentu z domu. On po prostu uprawnień do kierowania nie posiada. Lekceważący stosunek kierowcy, który stwierdził, że prawo jazdy nie jest mu potrzebne do jazdy, rozpatrzony będzie przez sąd. Mężczyzna odpowie zatem przed sądem za przekroczenie prędkości o 64 km/h oraz jazdę bez uprawnień.



Fot. Archiwum policji

Pracownik każdego szczebla pilnie poszukiwany

Z Edytą Hubska, współwłaścicielką firmy IDEA HR Doradztwo Personalne, rozmawia Robert Borowy

- Coraz częściej spotykam się z opiniami, że największą siłą napędową każdej firmy są ludzie, ich umysły i serca. Czy obecny rynek, jak i sami pracodawcy potrafią z tego ludzkiego potencjału korzystać?

- Na pewno właściciele firm, jak i kadra zarządzająca pragnie, aby ich pracownicy wykazywali się zaangażowaniem w pracy, pozytywną energią, wykonywali dobrze swoje obowiązki. Żeby jednak było to możliwe, trzeba potrafić zarządzać pracownikami. Niestety, nie wszyscy to potrafią. Nadal, choć na szczęście coraz rzadziej, obserwujemy stosowanie starych, nieefektywnych metod zarządzania poprzez lęk, strach, wymuszanie. W obecnych realiach serc ludzkich takimi działaniami nie poruszamy. Jest także druga strona medalu, czyli pracownicy. Często wybierają oni pracę, która nie jest związana z ich powołaniem, zainteresowaniami, predyspozycjami. Jeżeli ktoś wykonuje pracę, której nie lubi, to nawet jak pracodawca stworzy optymalne warunki zarządzania, niewiele to wniesie do wydajności takiego pracownika. Dlatego najważniejsza jest właściwa rekrutacja pracowników. To na tym poziomie należy zwrócić uwagę nie tylko na kompetencje, ale osobowość kandydatów. Odpowiednia rekrutacja stanowi bazę do zbudowania sprawnie działającej firmy.

- Wasza firma oferuje również usługę coachingu biznesowego. Co rozumiemy pod tym pojęciem?

- Tak, jesteśmy jedyną firmą w regionie świadczącą tego typu wyspecjalizowane usługi dla kadry zarządzającej. Sam coaching ma swoje korzenie w psychologii sportu. To tam najpierw odkryto moc indywidualnej pracy nad swoim potencjałem, ale i ograniczeniami, które sami sobie w głowach tworzymy. Mówiąc najprościej, coaching biznesowy to indywidualny trening zwiększania umiejętności zarządzania we wszystkich jego aspektach, poprawy skuteczności działania oraz osiągania celów. Coraz więcej firm inwestuje w rozwój kadry zarządzającej, przekładając popularną wajchę ze szkoleń na indywidualny coaching, dający więcej korzyści. Szkolenia służą przekazywaniu wiedzy, coaching zaś rozwijaniu indywidualnego potencjału, umiejętności. Słowem

budowaniu i rozwijaniu samego siebie.

- Specjalizujecie się w rekrutacjach na stanowiska menedżersko-kierownicze i specjalistyczne. Jakich pracowników dzisiaj pracodawcy najchętniej poszukują?

- Gospodarka Gorzowa opiera się na przemyśle, dlatego największym zainteresowaniem cieszą się pracownicy specjalizujący się w szeroko rozumianych procesach produkcyjnych. Najbardziej poszukiwani są inżynierowie, specjaliści logistyki, technolodzy, programiści. Ale dzisiaj nie wystarczą same kwalifikacje merytoryczne, równie ważna jest pasja, motywacja do pracy. Z tym bywa różnie, a pracodawcy zwracają na to coraz większą uwagę. Szukają ludzi chcących się rozwijać, zaangażowanych w rozwój firmy i lojalnych. Ważna jest też znajomość języków obcych. Bez tego wiele dróg do zrobienia kariery zawodowej jest zamkniętych. Jeżeli mamy określone kompetencje zawodowe wzmocnione znajomością języków, zawsze poradzimy sobie na rynku pracy. I od razu powiem, że tacy kandydaci mają naprawdę spore szanse nie tylko na znalezienie pracy, ale także na uzyskanie dobrych warunków finansowych. Wbrew obiegowym opiniom, w Gorzowie można dobrze zarobić. Spotkałam się już ze stawkami europejskimi, dochodzącymi do 10 tysięcy złotych netto. Dotyczy to oczywiście osób o najwyższych kwalifikacjach.

- Gorzowski rynek pracy jest bardziej rynkiem pracownika czy pracodawcy?

- Nasza firma zajmuje się nie tylko rekrutacją pracowników na stanowiska specjalistyczne i kierowniczo-menedżerskie, ale również w ramach tzw. pracy tymczasowej rekrutujemy pracowników szczebla produkcyjnego na potrzeby nie tylko gorzowskich firm, lecz też z regionu Polski zachodniej. I mogłabym śmiało stwierdzić, iż powoli obserwujemy rynek pracownika, a potrzeby pracodawców są naprawdę spore. Kłopot w tym, że brakuje chętnych do pracy. Pomimo, że wynagrodzenia rosną. Przez to musimy rekrutować pracowników z regionu, którzy są dowożeni do gorzowskich firm z miejscowości położonych w promieniu 70-80 km. W tej chwili mamy okres większego spokoju, ale zaraz nadejdzie



Edyta Hubska, współwłaścicielka firmy IDEA HR Doradztwo Personalne

wiosna i zainteresowanie pracodawców zatrudnieniem ponownie wzrośnie.

- Skoro w Gorzowie poszukiwani są pracownicy różnych szczebli przygotowania zawodowego, dlaczego nie ma to przełożenia na rozwój gospodarczy miasta?

- Problem tkwi w strukturze gospodarczej Gorzowa. Nie mamy zbyt wielu firm zaawansowanych technologicznie, posiadających działy rozwoju, badań, innowacji, które generują wysokopłatne miejsca pracy. Nie jesteśmy też miastem kwitnącej małej i średniej przedsiębiorczości. Dominują u nas zakłady o charakterze prostej, często manualnej produkcji. W takich przedsiębiorstwach pewnej bariery w wysokości wynagrodzeń nie można przeskoczyć, bo konkurują z nami inne kraje o niskich kosztach pracy, np. Słowacja, Rumunia, nie wspominając o krajach azjatyckich. Ale my cały czas szukamy wykwalifikowanych pracowników, każdego szczebla, na dobrze płatne stanowiska, wystarczy przesłać nam swoje CV.

- Gorzowskie szkoły i uczelnie dobrze przygotowują młodych ludzi do wejścia na rynek pracy?

- Dopasowanie oferty szkół do potrzeb rynku pracy jest ogólnopolskim problemem. Gdyby porównać statystyki bezrobocia, w jakich zawodach mamy najwięcej bezrobotnych, to pokrywają się one z ofertą szkół. Podobnie wygląda to w przypadku pracowników wyższego szczebla.

Kiedy spojrzymy na przykład na ofertę gorzowskiej PWSZ, zauważymy, że dopiero od kilku lat są czynione tam starania zmierzające do rozwijania kierunków technicznych. Przez lata stawiano na humanistów, na przykład specjalistów w zakresie administracji europejskiej, dla których nie ma za bardzo miejsc pracy.

- Do tego zapewne dochodzi emigracja zawodowa. Do Niemiec czy Anglii z Gorzowa najczęściej chyba wyjeżdżają specjaliści wysokiej klasy?

- Tak i to w różnych zawodach zarówno w wyspecjalizowanych, jak i robotniczych, ale są to osoby o poszukiwanych kwalifikacjach: rzeźnicy, spawacze, stolarze. Dzisiaj dla wielu pracowników nie ma znaczenia, czy będą pracowali w Gorzowie, Kostrzynie, Słubicach czy Berlinie. Żeby to jednak nie zabrzmiało zbyt pesymistycznie, otrzymujemy też zapytania od pracowników, którzy chcą powrócić zza granicy do Gorzowa i wtedy szukamy dla nich ciekawej oferty.

- A system szkoleń zawodowych jest właściwie dobiegany do aktualnych potrzeb rynku pracy?

- Z tym większych problemów nie ma, gdyż mamy szeroką ofertę szkoleniową płatną, względnie bezpłatną, unijne formy dokształcania. Pytanie tylko, na ile takie doszkalać jest przekonujące dla pracodawców? Szkolenia, dodatkowe studia podyplomowe są ważne jako uzupełnie-

nie głównego wykształcenia. Duże znaczenie ma osobowość kandydata, jego rozwój mentalny. Jeżeli dany kandydat nie wie, co chce robić, nie wie nawet, w czym dobrze się czuje, to cały pakiet skończonych kursów, studiów na niewiele mu się przyda. Są młodzi ludzie, którzy kończą dwa kierunki studiów, do tego podyplomówkę i nadal nie wiedzą, w czym czują się najlepiej. Z drugiej strony są osoby dynamiczne, zdeterminowane, które świetnie czują się w określonej branży, osiągają dobre wyniki i taki kurs tylko wzbogaca ich wiedzę, pozwala na rozwinięcie skrzydeł i w efekcie wyższe zarobki.

- Czy nasze rodzime firmy zwracają uwagę na budowanie systemu komunikacji wewnętrznej oraz kreowania wizerunku pracodawcy?

- Na pewno duże firmy o to dbają. Jest to praca długofalowa, u podstaw a nie tylko do rażna w razie gwałtownych potrzeb, bo pojawia się problem z pozyskaniem pracowników. Najważniejsze w kreowaniu wizerunku jest budowanie kultury organizacyjnej w firmie, dobór i rozwój kadry zarządzającej, która w umiejętny sposób zarządza pracownikami.

- Co należy przez to rozumieć?

- W pierwszej kolejności stworzenie optymalnych warunków pracy, gdyż opinia o firmie jest budowana nie różnymi działaniami marketingowymi, ale poprzez pracowników. I to zarówno obecnych, jak też byłych. Szanowany, doceniany pracownik jest głównym nosicielem pozytywnej opinii o swoim przedsiębiorstwie. Trzeba umieć rozstawać się też z pracownikami w taki sposób, żeby oni również wyrażali się pozytywnie o byłym pracodawcy. Pozostałe działania, o których wspominałam, są oczywiście ważne, ale niewystarczające. Podobnie jest w przypadku mniejszych firm, choć tam trudniej jest budować profesjonalne systemy kreowania wizerunku. Niemniej właściciele mogą zrobić wiele, żeby o ich firmie dobrze mówiono na rynku. Muszą najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie, jak wykorzystać ludzki potencjał do budowy marki firmy, jako atrakcyjnego pracodawcy?

- Grozi nam niedobór pracowników ze względu na niż demograficzny?

- Jako społeczeństwo starzejemy się, zmniejsza się liczba osób w wieku produk-

cyjnym, a długoterminowe tendencje nie są optymistyczne. Według prognoz demografów już za pięć lat w Polsce będzie o 700 tysięcy mniej ludzi w wieku produkcyjnym. Ucierpi również na tym województwo lubuskie. Obecnie na rynek pracy wchodzi roczniki z niżu demograficznego. I za pięć lat będzie ich mniej o kolejne 100 tysięcy w skali kraju. Zacznie natomiast przybywać osób starszych, emerytów. Konsekwencją takich spadków może być ucieczka pracowników z regionów o słabym przemyśle, co z kolei ograniczy przyciąganie nowych inwestorów. W tej chwili, gdyby w Gorzowie pojawił się inwestor oferujący tysiąc miejsc pracy byłby ogromny problem ze znalezieniem pracowników.

- W Polsce często słyszymy, że trzeba stawiać na młodych, bo są świetnie wykształceni. A co z 50-latkami, których największą zaletą jest doświadczenie?

- W Polsce nie zawsze doceniamy doświadczenie, ale na korzyść starszych roczników niebawem zacznie działać wspomniany niż demograficzny. Ja bym na miejscu 50-latków nie załamywała rąk, lecz robiła wszystko, żeby pokazać swoją atrakcyjność. W tym wieku można jeszcze się doszkalać, uczyć się języków obcych, ale ważna jest pokora. Nie można żyć w przesławieniu, że skoro przez całe dotychczasowe życie zawodowe zarabiałem na poziomie dobrej średniej krajowej, to teraz nie przyjmę pracy, jeżeli stawka będzie niższa. Trzeba dostosować się do powstałej sytuacji i najpierw udowodnić nowemu pracodawcy swoją wartość. Pracodawcy potrafią to docenić. Ważne do tego jest zachowanie pozytywnego nastawienia do świata, ludzi. Jeżeli w nowej pracy zobaczą, że jesteśmy zgorzkniali, sfrustrowani, to nie możemy liczyć na cuda. Zdarza się nam rekrutować osoby w wieku grubo ponad 50 lat, co daje nam mnóstwo satysfakcji. Swoją drogą, i te słowa kieruję do pracodawców, najbardziej efektywne są zespoły mieszane. Złożone z pracowników młodych i doświadczonych oraz z kobiet i mężczyzn. Młodym czasami brakuje wyważenia emocjonalnego, starszym zapału, odrobiny szaleństwa. I w takich zespołach można te cechy fajnie łączyć.

- Dziękuję za rozmowę.

Druh Witold, człowiek wielu zalet i niezwykłych pasji

Harcerz, pisarz, kronikarz Ziemi Wołkowyskiej, gawędziarz, nauczyciel, wychowawca. A przede wszystkim wspaniały człowiek.

Tak o Witoldzie Karpyzie opowiadają ci, co go pamiętają i wspominają. Gorzowscy harcerze, nauczyciele i wychowankowie.

- Był wspaniałym człowiekiem. Osobą o wielu pasjach, oddanym swoim ideałom - mówią gorzowscy instruktorzy Związku Harcerstwa Polskiego, jego wychowankowie i kontynuatorzy jego stylu życia i pracy. 3 marca mija szósta rocznica jego śmierci.

Pochodził z Kresów

Witold Karpyza urodził się 28 sierpnia 1913 roku we wsi Zienowce, niedaleko Ciereszek, Krasnego Grodu, Werek. To dzisiejsze Kresy Wschodnie, Ziemia Wołkowyska, ziemie utracone po II wojnie światowej, kolebka i macierz druha Witka, jak przez lata go nazywali jego podkomendni i przyjaciele. Skończył najpierw szkołę powszechną, potem trafił w 1930 roku do Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy, a po jego likwidacji kończył edukację w seminarium w Grodnie. Skończył je w 1936 roku i otrzymał dyplom nauczyciela szkoły powszechnej. Zaraz po seminarium zaczął pracę w szkole im. Józefa Piłsudskiego w Rosi.

Od samego początku kultywował swoją wielką pasję, jakim był rysunek i malarstwo. Utrwalał głównie kresowe krajobrazy. Sztuki tej uczył się na trwającej trzy lata letniej szkole malarstwa, która działała w słynnym Liceum Krzemienieckim na Ukrainie (tam, gdzie urodził się Juliusz Słowacki i po dziś jest jego muzeum). Po wybuchu II wojny światowej i zajęciu Rosi przez Sowietów Witold Karpy-

za nadal pracował, ale już w białoruskiej szkole w Rosi, a po okupacji miasteczka w 1941 roku przez Niemców pracował jako księgowy w miejscowej mleczarni.

Żołnierz i harcerz

Od początku wojny działał w podziemnych strukturach wojskowych, w szeregach Armii Krajowej. Był komendantem Rosi. Skończył nawet Szkołę Podchorążych. Ludzie, którzy go pamiętali z tamtych czasów, podkreślali, że był bardzo odważnym żołnierzem i świetnym organizatorem. Pod koniec wojny, decyzją kierownictwa Polskich Sił Zbrojnych w Londynie, został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i otrzymał wojskowy stopień podporucznika. Równocześnie też działał jako harcerz. Przeszedł wszystkie szczeble harcerskiej drabiny - od zwykłego skauta, aż do instruktorskich insygniów.

Po zakończeniu II wojny światowej jak wielu Polaków z Kresów musiał opuścić kraj rodzinny. Losy przywiodły go do Gorzowa Wielkopolskiego. I tu od pierwszych chwil wzięł się energicznie do pracy - włączył się w ruch tworzący polską szkołę a także harcerstwo.

Najpierw uczył plastyki, a po ukończeniu matematyki na Uniwersytecie Pedagogicznym w Gdańsku uczył właśnie tego przedmiotu. I jak pamiętają go uczniowie - był znakomitym wykładowcą.

Poza pracą zawodową zajmował się aktywnie działalnością harcerską, był komendantem gorzowskiego Hufca ZHP w latach 1948-1949. Poza tym założył m.in. Oddział Polskiego Towarzystwa



Witold Karpyza był komendantem gorzowskiego Hufca ZHP w latach 1948-1949

Turystycznego, był jego pierwszym prezesem, a także jednym z założycieli Gorzowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Po zmianach w 1956 r. został ponownie wybrany na funkcję komendanta hufca, ale odmówił przyjęcia poczwórnego komendanckiego srebrnego sznura. Jednak przez lata bardzo aktywnie wspomagał środowisko harcerskie, wspierał też harcerstwo na Kresach.

W roku 1973 po 37 latach pracy pedagogicznej udał się na emeryturę i przez długi okres czasu pracował w bibliotece pedagogicznej w Gorzowie. W ciągu całego życia Witold Karpyza ani na chwilę nie zapomniał o swych stro-

nach ojczyistych, o kraju Wołkowyskim.

Pisał całe życie

Jego wielką pasją, jedną z wielu, była historia Ziemi Wołkowyskiej. Badał jej dzieje, opierał się na wielu różnych źródłach rozsianych w licznych archiwach Polski, Białorusi, Litwy, a także w pracach naukowych i kronikarskiej literaturze.

Zostawił po sobie 27 tomów rękopisów, po części później wydanych, które zawierają historię Wołkowyska i powiatu wołkowyskiego oraz około 300 grafik i akwarel, na których są przedstawione zabytki architektoniczne i historyczne Ziemi Wołkowyskiej i okolic.

Oprócz wymienionych tomów monografii Witold Karpyza zostawił cztery tomy wspomnień, które przekazał bibliotece Ossolineum we Wrocławiu. Witold Karpyza jest również autorem licznych prac historycznych dotyczących Ziemi Gorzowskiej.

Witold Karpyza był człowiekiem bardzo zdyscyplinowanym, który z ogromną odpowiedzialnością podchodził do każdego zadania, którego się podejmował. Niesamowicie pracowity, nieustrudzony publicysta i naukowiec codziennie siadał do biurka, by zapisać chociażby jedną linijkę kroniki rodzimej Wołkowyszczyzny. Żeby być bardziej wydajnym, w wieku 92 lat opanował obsługę komputera! Bo trzeba pamiętać, że jego przesłaniem było hasło - dzień bez zapisania choćby jednej linijki, dniem straconym.

Witold Karpyza był też dobrym duchem organizacji społecznej Stowarzyszenie Rodzin Ziemi Wołkowyskiej z centrum w Gdańsku, która w 1995 r. wydała album jego rysunków z krótkimi i niezwykle rzetelnymi notkami historycznymi pt. „Z teki rysunkowej Witolda Karpyzy - Zabytki Ziemi Wołkowyskiej”. Staraniem Przemysława Mikusińskiego z Łęborka zostały wydane tomy artykułów Witolda Karpyzy pt. „Ziemia Wołkowyska”.

Pisał także fantastyczne gawędy - opowiadania, jakich nie może zabraknąć na żadnej porządnej harcerskiej zbiorce czy też obrzędowym ognisku. Te miniaturki harcerskiego stylu życia, choć trochę straciły na aktualności, jeśli chodzi o realia, nadal są szalenie aktualne, jeśli chodzi

o wymowę wychowawczą i ideową.

Raz skautem, całe życie skautem

To skautowskie zawołanie druh Witold realizował przez całe życie. Wierny ideałom lorda Roberta Baden-Powella uczył ich swoich następców i wychowanków. Nigdy nie założył własnej rodziny. Pytany o przyczynę, nie zdradzał źródła swego wyboru. Był aktywny prawie do końca. Przez wiele lat mieszkał przy ul. Sikorskiego, w 1992 r. przeżył wypadek samochodowy - potrafiło go auto i od tej pory był unieruchomiony. Do końca życia mieszkał w Domu Pomocy Społecznej. Opiekowali się nim między innymi harcmistrz Bogdan Zalewski i śp. harcmistrz Sylwester Kuczyński.

Za swoją bardzo bogatą działalność zarówno niepodległościową, jak i harcerską oraz wychowawczą i wydawniczą odznaczony był Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Krzyżem Armii Krajowej, Złotym Krzyżem Zasługi dla Związku Harcerstwa Polskiego.

Odszedł na Wieczną Wartę 3 marca 2009 roku i pochowany jest w Kwaterze Zasłużonych na cmentarzu komunalnym w Gorzowie. Odszedł wielki człowiek, wielkiego formatu, kompletnie nieskupiony na sobie, nakierowany na drugiego człowieka. Takim właśnie pamiętają go ci, którzy poznali trochę bliżej.

RENATA OCHWAT

reklama



Wielospecjalistyczny Szpital Wojewódzki w Gorzowie Wielkopolskim
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

TWOJE ZDROWIE - TWÓJ SZPITAL

Z poszarpanej krawędzi niczego rodziło się życie sportowe

Jeszcze toczyła się wojna, jeszcze ginęli ludzie, gdy w polskim Gorzowie rodziło się nowe życie. Także sportowe.

Już 1 maja 1945 roku na stadionie przy ul. Myśluborskiej odbył się mecz piłkarski, który już wtedy stał się symbolem czegoś nowego. Drużyna polskich kolejarzy zmierzyła się z zespołem złożonym z frontowych żołnierzy Armii Radzieckiej.

Takie były oficjalne narodziny sportu na Ziemi Lubuskiej. Jednym z najwybitniejszych jego organizatorów i krzewicieli był Paweł Macierzewski, człowiek, którego zasług trudno przecenić.

Urodził się w 1917 roku w Wągrowcu. W 1932 roku wstąpił do Robotniczego Klubu Sportowego Nielba, w którym gra w piłkę nożną, biega na krótkich i średnich dystansach, pływa kajakiem i namiętnie boksuje. Jest sportowcem wszechstronnym i ciekawym świata. Nie wystarcza mu aktywność ograniczająca się do dbałości o własną tężyznę fizyczną i swój rozwój sportowy. Na specjalnych kursach zdobywa uprawnienia instruktora boksu i lekkiej atletyki. Jego dalszą karierę sportową i pracę w starostwie przerywa wojna.

Kampania wrześniowa... niewola pod Sochaczewem... bataliony robocze... szpital i powrót do rodzinnego Wągrowca.

Teraz chodzi o przetrwanie. Jednym ze sposobów jest uprawianie sportu. Jak? Gdzie? Najlepiej w pobliskim lesie. Tu grają w piłkę, biegają po ścieżkach i zawzięcie boksuje. Cały czas bacząc na to, by Niemcy ich tam nie nakryli. Często muszą się salwować ucieczką. Raz nie zdążyli. Piłka i rękawice bokserskie stają się powodem aresztowania pod zarzutem... szpiegowania. Na szczęście, po dwóch dniach tłumaczelnia, odzyskują wolność z przykazaniem na drogę, że jeśli te spotkania się powtórzą, to staną pod ścianą i będzie po nich. Praca w karnych grupach roboczych, które w czasie wolnym od normalnej pracy kopały rowy, okopy ma ich wyleczyć ze sportu. Nie wyleczyła...

Po wyzwoleniu Wągrowca, odpowiadając na apele nowej władzy zostaje kolejarzem, choć z koleją nigdy wcześniej nie miał nic wspólnego. Trzeba było pomóc w organizowaniu i normalizowaniu życia na terenach wyzwolonych, co leżało w interesie walczących wojsk

radzieckich i polskich. Szczególnie ważne było sprawne funkcjonowanie transportu kolejowego, systematycznie niszczonego przez cofające się oddziały niemieckie oraz naloty bombowe. Nie wahał się ani przez chwilę.

17 lutego 1945 roku jest w 18-osobowej grupie kolejarzy kierowanej przez Władysława Zastrożnego, która otrzymuje polecenie służbowego wyjazdu na Ziemię Zachodnią, do polskiego już Gorzowa, gdzie mają za zadanie uruchomić komunikację kolejową na trasie Krzyż-Kostrzyn. 19 lutego po 48-godzinnej podróży docierają do celu, akurat w momencie nalotu bombowego na obiekty kolejowego węzła. Są pierwszymi i praktycznie jedy-nymi Polakami... Pionierzy. Witają ich ruiny i pożogi.

Paweł Macierzewski nie oswoił się jeszcze z nową pracą, gdy został zastępcą naczelnika parowozowni. Kolejarze usuwają zniszczenia wojenne, szkody po nocnych bombardowaniach, gromadzą sprzęt, naprawiają parowozy i wagony. Brakuje ludzi, sprzętu... Zagrożają im niedobitki niemieckiej armii i naloty... Dookoła trwają jeszcze walki... Skoszarowani, z bronią w zasięgu ręki dwoją się i troją, aby na pobliski front docierały transporty z bronią, amunicją i żywnością, aby z frontu do szpitali mogli dojechać ranni i kontuzjowani.

W wolnych chwilach, których z czasem jest coraz więcej, bo i kolejarzy w Gorzowie przybywa, grają w piłkę nożną. To je-

W wolnych chwilach, których z czasem jest coraz więcej, bo i kolejarzy w Gorzowie przybywa, grają w piłkę nożną.

dyna rozrywka. Plac w obecnym Parku Róż służy im za boisko, a chętnych do gry nie brakuje.

- Kiedy więc na spotkaniu z komendantem wojennym miasta, płk. Dragunem omawiano obchody dnia 1 Maja, zaproponowałem rozegranie meczu piłkarskiego pomiędzy kolejarzami a drużyną wojsk radzieckich stacjonujących wtedy w Gorzowie - mówił P. Macierzewski. - Pomysł zyskał akceptację i zaczęliśmy się rozglądać za sprzętem sporto-



Paweł Macierzewski całe życie był związany z piłką nożną

wym. Od ludzi, którzy posiadali własne lub poniemieckie rzeczy kupiliśmy siedem par butów piłkarskich oraz dwie piłki. Za ochraniacze służyły nam zwykłe zeszyty szkolne, a kostiumy w narodowych barwach zostały uszyte z białych prześcieradeł i czerwonych poszew.

Spotkanie odbyło się na dzisiejszym stadionie Stilonu. By je rozegrać, trzeba było zasy-pywać rowy strzeleckie i przeciwciotnicze, którymi boisko zryte było wzdłuż i wszerz. Kolejarską brć reprezentowali: w bramce Kazimierz Bagrowski, w obronie Walenty Sobieralski i Alojzy Bauza, w pomocy Roman Maciejewski, Zdzisław Staszak oraz Paweł Macierzewski, a linia ataku to Kazimierz Pia-secki, Stefan Rębacz, Stanisław Maciejewski, Kazimierz Sztorch i Feliks Chojnacki. W drugiej połowie meczu wystąpili także Marian Wojtczak oraz Franciszek Niczka. Sędziował Karol Lamprecht. Kolejarze przegrali 1 : 2, a pierwszego gola na wagę symbolu dla polskiej drużyny zdobył Stanisław Maciejewski, w latach 40. i wczesnych 50. bodajże najlepszy piłkarz Gorzowa.

Po tym pierwszym meczu przyszły następne.

14 maja z inicjatywy Pawła Macierzewskiego odbyło się zebranie, na którym podjęto

uchwałę o powołaniu do życia Kolejowego Klubu Sportowego Gorzów z następującymi sekcjami: piłki nożnej z P. Macierzewskim jako jej kierownikiem, lekkiej atletyki - kierownik Bernard Majchrzak, bokserską - kierownik Walenty Sobieralski, strzelecką - kierownik Gustaw Budrewicz, tenisa stołowego - kierownik P. Macierzewski. Prezesem klubu został Zygfryd Wawrzyniak, wiceprezesami Jan Gryszko i Kazimierz Lubiński, sekretarzem Władysław Zastrożny, zastępcą sekretarza Stanisław Hopcia, skarbnikiem Józef Kozłowski, zastępcą skarbnika Bronisław Gozdalski, gospodarzem sprzętu Stefan Balce-rek. W skład komisji rewizyjnej weszli: Gustaw Budrewicz jako przewodniczący oraz Franciszek Witkowski i Walerian Glugla jako członkowie.

Najprężniej rozwijała się sekcja piłkarska. Drużyna KKS już 21 maja 1945 roku rozegrała oficjalny mecz, mając za przeciwnika zespół złożony z miejscowych milicjan-tów. Później były spotkania z drużynami wojsk radzieckich i polskich, Krzyża, Międzyłochu. Rok 1945 sekcja piłki nożnej zamknęła następującym bilansem, według kroniki klubu: „meczów piłkarskich 21, w tym wygranych - 12, przegranych - 7, remisów - 2”. Jaki inny klub

powstały w owym czasie można pochwalić się taką ilością spotkań?! Mimo iż piłkarze kolejowego klubu nie bardzo mieli w czym i czym grać, o czym świadczy sprawozdanie z działalności sekcji za 1945 rok, w którym m.in. czytamy: „Dziś sekcja posiada zakupionych: 7 par butów piłkarskich, 2 piłki nożne, 11 kompletów mundurków, 1 książkę statutową PZPN, 2 pary kolczatek, 1 parę mesztów, 2 pary rękawic bokserskich, 1 stoper”.

Paweł Macierzewski jest motorem napędowym kolejarskiego i gorzowskiego sportu. Gra w piłkę nożną i walczy na ringu, prowadzi treningi bokserskie i pełni funkcję sędziego zawodów lekkoatletycznych, organizuje sportowe imprezy i... normalnie pracuje zawodowo. Jest właściwie wszędzie tam, gdzie coś ciekawego się dzieje. Robi niemal wszystko, co tylko pionier może robić. Nawet śpiewa w chórze.

Rosną szeregi sportowców, pojawiają się nowi działacze kolejowego klubu, w którego nazwie pojawi się z czasem słowo: Warta. Walerian Dale-szyński, Józef Mogiła, Edward Odoj, Kazimierz Górny, Brunon Szulwic, Stefan Studziński... Wszystkich i tak nie sposób wymienić.

Za przykładem kolejarzy idą inni. Jeszcze w 1945 roku powstaje klub OMTUR, w 1947 zawiązano RKS Chrobry, KS Gorzovia, PZInż. (późniejsza Stal) oraz koło sportowe Jedwab-Włóknarz, które w 1950 roku stało się Unią. W 1948 roku narodził się KS Budowlani, a później GKS Gwardia. W latach 50. pojawi się KS Sokół i SKS Admira...

Pierwszy jednak był Kolejowy Klub Sportowy, a w nim pierwszymi byli piłkarze, którzy na mecze jeździli otwartymi wagonami kolejowymi, na platformach bez plandeki, często od razu po pracy, prosto z parowozu porywani przez kolegów. W 1946 roku piłkarze KKS wystartowali w rozgrywkach PZPN klasy „C”. W inauguracyjnym meczu na stadionie przy ul. Myśluborskiej pokonali KKS Piła 2:1. I tak piłkarska karuzela rozkręciła się na dobre.

Swoje dobre i złe chwile przeżywają także inne sekcje. Jedne rozkwitają, inne zamierają, w ich miejsce pojawiają się nowe. Gorzowskie pływanie, kolarstwo, podnośnienie

ciężarów, piłka ręczna kobiet i mężczyzn, łucznictwo - właśnie w Warcie mają swoje początki. Podobnie jak lekka atletyka, tenis stołowy, boks, szachy, szermierka, koszykówka, siatkówka... Czego w KKS nie było?!

Z Wartą w różnych okresach związani byli m. in. Robert Wójcik - ciężarowiec, który w 1966 roku jako pierwszy Polak zaliczył 500 kilogramów w trójboju: Marian Filipiuk - biegacz, olimpijczyk z Tokio, Edmund Migoś - znakomity kolarz, Danut Cymer - reprezentantka Polski w rzucie dyskiem, Jan Pucher - reprezentant kraju w biegach średnich i długich oraz plejada późniejszych trenerów i działaczy - bracia Kulczyccy, Michał Kaniowski, Ryszard Nieścieruk, Ryszard Łuczak, Gerard Nowak, Lech Lastowski i Józef Rutkowski, Zenon Kowalski i Bogdan Znój, Kazimierz Wierchowicz i Jan Znój, i wielu, wielu innych, którzy z warciańskim rodowodem tworzyli nowe sekcje, nowe drużyny w innych klubach.

Tak rodził się gorzowski sport... Z poszarpanej krawędzi niczego... Nie można zapomnieć więc zasług takich ludzi jak Paweł Macierzewski, którzy w tamtych latach odegrali ogromną rolę w tworzeniu i rozwijaniu jednej z najwspanialszych dziedzin ludzkiej aktywności. Zresztą, pan Paweł pozostał aktywnym działaczem nawet po przejściu w 1978 roku na emeryturę. Znany był szczególnie w środowisku piłkarskim, był honorowym prezesem GOZPN. Za swą kilkudziesięcioletnią działalność sportową otrzymał mnóstwo odznaczeń, dyplomów, nagród, medali i listów. Najwyżej jednak cenił list od św. Mikołaja, otrzymany 6 grudnia 1945 roku, z życzeniem... wybudowania kortu tenisowego. Do listu dołączono dwie rakiety tenisowe i sześć piłek. Nie było rady, kort musiał powstać, i powstał, na placu koło dzisiejszego Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta przy ul. Warszawskiej. Paweł Macierzewski nigdy się nie dowiedział kto był nadawcą tej oryginalnej przesyłki, która pięknie zaświadcza o roli, jaką wówczas i później w Gorzowie odgrywał.

Zmarł 29 grudnia 1992 roku. Pozostała po Nim nie tylko pamięć. Pozostało znacznie więcej, choć czas nieubłaganie zaciera wszystkie ślady.

JAN DELJEWSKI

r e k l a m a



**Trzebicz Nowy 55
66-530 Drezdenko**

**www.agroturlot.pl
r.chwalisz@agroturlot.pl
m.kaczmarek@agroturlot.pl**

**loty widokowe i reklamowe z banerem
szkolenia i licencje pilotów ULM
przeglądy samolotów oraz motolotni
hangarowanie z pełną obsługą
organizacja pikników firmowych i rodzinnych
baza noclegowa i rekreacyjna**



Karczma pod Łosiem
na Farmie Wawrzynca
po renowacji Magdy Gessler ...

**aromatyczne spotkania
w pięknych okolicznościach przyrody:
rodzinne, towarzyskie i firmowe**

czynna: wtorek - niedziela 12.00- 21.00
tel. 695 926 411
mail: karczmapodlosiem.pl



Gorzów Wlkp. - Wawrów
Osiedle Bermudy

Palmy z drenażem w Katarze

Z Jerzym Buczakiem, fizjoterapeutą polskiej reprezentacji piłkarzy ręcznych, rozmawia Robert Borowy

- To już trzeci pański medal mistrzostw świata zdobyty z naszymi piłkarzami ręcznymi. W 2007 roku w Niemczech było srebro, dwa lata później w Chorwacji brąz i teraz ponownie jest trzecie miejsce. biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich ten medal został wywalczony, można powiedzieć, że jest on najcenniejszy w dorobku naszej drużyny?

- Każdy z tych sukcesów rodził się w wielkich bólach i zapewne zdania, który z tych medali jest najcenniejszy będą podzielone. Mogę mówić za siebie i dla mnie osobiście jest to rzeczywiście najcenniejszy krążek, choć uważam, że należał nam się medal z bardziej cenniejszego kruszcu. Przynajmniej srebrny. Powinniśmy zagrać w finale i nie jest to tylko moje zdanie. Z drugiej strony zdołaliśmy w mistrzowskich imprezach zbudować pewną tradycję tworzenia horrorów. I co najważniejsze, przynajmniej w mistrzostwach świata te nasze dreszczowce najczęściej kończą się happy endem.

- Nasi szczypiorniści rzeczywiście od lat przyzwyczaili kibiców do dreszczowców. Jakie zdanie na ten temat mają rywale, którzy od lat rywalizują z nami o najwyższe laury?

- Na temat dramatycznych końcówek rywale z nami raczej nie dyskutują, bo taka jest ta piłka ręczna, że mnóstwo pojedynków rozstrzyga się w ostatnich akcjach. Jeżeli już o czymś rozmawiamy to bardziej, z kim lepiej grać, a kogo raczej omijać z daleko. Chodzi o styl i taktykę gry. My od lat największe kłopoty mamy z zespołami z Bałkanów, Hiszpanii czy Francji. Dobrze zaś czujemy się w spotkaniach ze Skandynawami, Niemcami, Rosją. Dlatego te mistrzostwa przyniosły nam dodatkową radość w postaci przełamania pewnej bariery niemocy. Po wielu latach wygraliśmy z Chorwacją, potem doszło jeszcze zwycięstwo z obrońcami mistrzowskiego tytułu Hiszpanią. Mam nadzieję, że od teraz styl południowców nie będzie już naszą piętą achillesową.

- Jak pan wytrzymuje ten ciągły stres fundowany przez zawodników?

- Jakoś muszę. Każdy z nas w ekipie inaczej przeżywa te emocje. Jedni reagują bardzo gwałtownie, inni duszą wszystko w sobie. Ja staram się to wypośredkować. Jeżeli już daję coś po sobie znać, to w miarę spokojnie, ale w środku ciała czasami wiele organów mi się gotuje. Jestem z tym zespołem związany od lat, odrobinę części w te sukcesy wnoszę,

bardzo lubię chłopaków i mocno zależy mi na tych zwycięstwach. Najlepiej czuję się, kiedy wygrywamy w dramatycznych okolicznościach, bo potem następuje chwila odprężenia. Adrenalina odchodzi, wszystkie emocje wspaniale spływają po ciele i człowiek czuje się jak nowo narodzony. A jak przyjemnie po takim spotkaniu wchodzi się do szatni, gdzie panuje radość, jak przyjemnie jest wyjść do kibiców. I wreszcie późniejsza praca z zawodnikami jest dużo miłsza niż po porażkach. Zresztą cała nasza ekipa porażki przyjmuje z wielkim smutkiem.

- Kibice oglądają mecze z trybun lub w telewizji. Pan jest w środku wydarzeń. Jacy na co dzień są nasi zawodnicy, którzy na parkiecie zamieniają się w wielkich wojowników?

- Od początku mojej pracy z zawodnikami mam do czynienia z fantastyczną grupą ludzi. To są gladiatorzy, wojownicy, którzy za wygraną są gotowi oddać wszystko i jeszcze coś dolożyć. Czasami nazywam ich boiskowymi „bandytami”, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu. I proszę mi wierzyć, ale ci wielcy, potężnie zbudowane chłopcy, którzy mogą grać nawet z urwaną ręką po przegranej potrafia wejść do szatni i rozplakać się jak dzieci. Tak mocno przeżywają walkę z orzełkiem na piersiach. Kiedy emocje już opadają emanuje od nich bardzo dużo ciepła, są do tego dowcipni, tworzą grupę przyjaciół, która kocha grać dla reprezentacji. W Katarze wielu zagranicznych dziennikarzy pytało się naszych zawodników, za ile byliby gotowi zagrać dla reprezentacji gospodarzy? Jeden odpowiedział, że ojczyzna nie jest na sprzedaż, drugi ironizował, że za takie „grosze” nie opłaca mu się zmieniać polskiej koszulki na katarską. Zostało to powiedziane z uśmiechem na twarzy, ale proszę mi wierzyć - oni za Polskę daliby sobie urwać nie tylko rękę, ale zapewne też nogę. A skoro tak weszliśmy na temat gospodarki, to przyznam, że wszyscy podczas tych mistrzostw z niesmakiem patrzyli na tak dziwny twór jakim była drużyna Kataru. Nie ma co już jednak ciągnąć tego tematu, bo to już nic nie zmieni.

- Czy obserwując kulisy tegorocznych mistrzostw świata zgodziłby się pan, że byli one pod wieloma względami inne niż wiele poprzednich?

- Wolę skupić się bardziej na ocenie tego co mnie najbardziej zainteresowało pod kątem mojej pracy. Nie kryję, że byłem na każdym kroku zaskakiwany pozytywnie. Szatnia miała około 200 metrów kwadratowych po-



Jerzy Buczak brązowy medalista mistrzostw świata w Katarze

wierzchni i w niej znajdowało się wszystko, co było potrzebne do odnowy biologicznej. U nas w Polsce bywa, że szatnie mamy po dziesięć metrów a za wieszak służą wbite w ścianę gwoździe. W Katarze mieliśmy basen, jacuzzi, wanienkę, a przede wszystkim kostkarkę do robienia lodu. To jest niezwykle ważne. Po meczu do wanienek nalewa się wodę, wrzuca po 20 kg lodu i każdy zawodnik musi wejść, żeby jak najszybciej i najlepiej zregenerować organizm po wysiłku. W każdej szatni były też urządzenia audiowizualne, w tym duży telebim, dzięki czemu trenerzy podczas przerwy mogli szybko z zawodnikami przeanalizować to co działo się w pierwszej połowie i wybrać odpowiednią taktykę na drugą część. Nawet owoców nie brakowało w szatniach. Podobnie wyglądało to w hotelu. Mieszkaliśmy w Hiltonie nad samą zatoką i tam również gabinet do odnowy, masażu był świetnie wyposażony. Nawet łóżka były „łamane” na różne sposoby. Dlatego oceniając mistrzostwa pod kątem pracy naszego sztabu medycznego powiem krótko, że wszystko było perfekcyjne. Przypomnę, że obok mnie w sztabie był też dr Rafał Markowski i fizjoterapeuta Krzysztof Rudomina, kolejni gorzowianin obok mnie, którego zresztą kiedyś wciągnąłem do pracy w kadrze.

- Wierzy pan, że po tym katarskim sukcesie szczypiorniści ponownie zyska na popularności w Polsce i Gorzowie?

- Tak, mocno w to wierzę, bo już dwukrotnie przeżywaliśmy podobne sukcesy i każdorazowo ta dyscyplina w Polsce dostawała nowego paliwa do rozwoju. Będąc w Katarze docho-
dziły do nas informacje rosnącym zainteresowaniem naszymi występami. Miło zrobiło się nam, kiedy usłyszeliśmy, że pojedynek o medal z Hiszpanią oglądało osiem milionów widzów, z czego wielu o mało nie przyplaciło tych emocji zawalem. Oczywiście mówię to w cudzysłowie. To po-

kazuje, że Polacy lubią ten sport. Lubią także mieć własnych bohaterów. Kiedyś był nim Artur Siódmiak, gdy rzutem do pustej bramki zapewnił nam awans do strefy medalowej w Chorwacji. Teraz na gwiazdę wyrósł Michał Szyba, doprowadzając na dwie sekundy przed końcem do dogrywki o brązowy medal. A co do Gorzowa, to fajnie, że udało się odbudować zespół. Na razie jest to niska liga, ale od czegoś trzeba było zacząć. Ważne będzie zbudowanie teraz odpowiedniego klimatu, zachęca sponsorów. Jeżeli to się uda, łatwiej będzie powalczyć o grę w wyższej lidze. Szczypiorniści mogą wygrać nawet z futbolem co pokazuje przykład z Kielc, gdzie Vive przebija zainteresowaniem piłkarską Koronę.

- Od ośmiu lat nasza drużyna walczy o najwyższe trofea. Można więc mówić o polskiej szkole szczypiorniaka?

- Nie chciałbym tutaj analizować spraw szkoleniowych. Od tego są trenerzy, ale muszę przypomnieć, że początek tej wspaniałej serii to nie zdobycie srebrnego medalu w mistrzostwach świata w Niemczech w 2007 roku a wcześniejszy triumf w 2002 roku naszych młodzieżowców na mistrzostwach Europy. Kiedy trenerem kadry seniorów został Bogdan Wenta postawił on na kilku tych naszych złotych chłopców, wśród których byli m.in. Karol Bielecki, Mariusz Jurkiewicz czy Krzysztof Lijewski. I tak zaczęła się budowa silnej drużyny. Z czasem zaczęli pojawiać się kolejni zdolni piłkarze i teraz te zmiany są takim naturalnym procesem.

- W przyszłym roku w Polsce zostaną rozegrane mistrzostwa Europy. Zawodnicy są z tego zadowoleni, nie obawiają się związanej z tym presji?

- Nie, dla wielu z nich jest to impreza, na którą nie mogą się doczekać. Sami przyznają, że zagrać przed własną publicznością to jest szczyt marzeń. Ci

starsi nie kryją, że to w ogóle może być dla nich pożegnanie z kadrą i bardzo chcieliby wystąpić.

- Dzięki pracy ma pan okazję podróżować po całym świecie. Jakie wrażenie pozasportowe przywiózł pan z Kataru?

- Po raz pierwszy w życiu miałem okazję pojechać do tego kraju i choć jest tam zima, jak u nas, przez cały okres pobytu nie mogłem dojrzeć na niebie chmurki a temperatura wahała się pomiędzy 25 a 30 stopniami. Byłem pod ogromnym wrażeniem tego co zobaczyłem. Niesamowita jest tam architektura. Może jak ktoś ogląda w telewizji obrazki ze stolicy Doha to ma wrażenie, jakby był w Stanach Zjednoczonych. Od razu wyprowadzam z błędu. To nie jest nowojorski Manhattan czy Dautan w Chicago. Te katarskie wieżowce są dużo ładniejsze. Wieczorem wygląd jest bajeczny, a sprzyja temu odpowiednie oświetlenie. Proszę sobie wyobrazić, że w centrum Doha nawet krawężniki są podświetlane diodami. Ze względu na to, że jest tam pusty klimat do każdego drzewa, najczęściej są to palmy, doprowadzony jest drenaż i urządzenia pozwalające utrzymywać odpowiednią wilgoć. I bardzo dużo jest tam tej zieleni.

- A jacy w zwykłych kontaktach są Katarczyści?

- Myślę, że jeżeli nie nadeprnie im się na odcisk są przyjaźnie nastawieni do gości. Musimy pamiętać, że tam jest inna kultura, religia i trzeba to na każdym kroku umieć uszanować, a wtedy oni uszanują naszą odmienność. Powiedziałbym, że tam działa zasada „uśmiech za uśmiech”. Jeżeli zaś ktoś zacznie lekceważyć ich obyczaje, czy zwyczaje, nie może liczyć na ciepło z drugiej strony. Tak to wszystko odebrałem.

- Piłka ręczna to tylko jedna z dyscyplin, z którą na co dzień pan się zajmuje. Są też żuźlowcy, kiedyś byli wiolarze. Praca ze sportowcami różnych dyscyplin wygląda podobnie, czy jednak są istotne różnice?

- Trzymajmy się żużla i piłki ręcznej, bo na tym się skupiam. Najważniejszym zadaniem w pracy fizjoterapeuty jest pomoc kontuzjowanemu w mniejszym lub większym stopniu zawodnikowi i pomaganie im w jak najszybszej regeneracji po wykonaniu ogromnego wysiłku meczowego. W przypadku żużlowców i szczypiornistów występuje podobny rodzaj urazów i kontuzji. U tych pierwszych jest może trochę więcej złamań, u drugich naciągnięć czy zerwanych więzadeł.

- Wie pan co to jest czas wolny?

- Takim wariatem nie jestem, żeby całkowicie oddać się pracy. Każdy człowiek musi potrafić znaleźć sobie trochę tego czasu, uciec od pracy. Nawet w Katarze starałem się wygospodarować trochę wolnego, żeby móc odpocząć, pozwiedzać, nacieszyć się innym światem. Swoją drogą powróciłem stamtąd naładowany energią, bo jak wspominałem, mieliśmy wspaniałą pogodę i nie czułem takiego zmęczenia jak podczas innych podobnych imprez rozgrywanych choćby w Europie. A pracy wcale nie było mniej.

- Takie wyjazdy, jak do Kataru, są dla pana nagrodą za pracę ze sportowcami?

- Oczywiście, przecież prywatnie nie byłoby mnie stać na zwiedzenie świata. Miałem już okazję być, poza Australią, na wszystkich kontynentach. Nigdy tego nie kryję, że dzięki wyjazdom mogę zobaczyć tyle wspaniałych miejsc. Każdemu życzę, żeby pojechał na przykład do Kataru. Inną nagrodę stanowią różne spotkania. Nawet po przyjeździe do Gorzowa miło jest kiedy mogę nacieszyć się z przyjaciółmi, pokazać im medal. To są drobne rzeczy, ale dają dużo satysfakcji i jednocześnie przekonanie, że to co robię jest komuś potrzebne. Zaszczycem są ponadto wizyty państwowe. Byłem kiedyś u premiera Donalda Tuska, u prezydenta Lecha Kaczyńskiego, niedługo razem z zespołem gościśmy u prezydenta Bronisława Komorowskiego.

- A potem przyjdzie ta chwila wytchnienia?

- Nie, gdyż ostro ruszam ze Stalą Gorzów z przygotowaniami do sezonu żużlowego. Czekać mnie także liczne zgrupowania z piłkarzami ręcznymi, bo już w kwietniu planowany jest pierwszy obóz, a potem odbędzie się seria turniejów towarzyskich, w miastach, gdzie za rok odbędą się wspomniane mistrzostwa Europy.

- Ma pan jeszcze jakieś marzenie sportowe?

- Medal na igrzyskach olimpijskich. Byłem już w Pekinie w 2008 roku i powiem uczciwie, że igrzyska to Mount Everest sportu. Wszystko inne są tylko ważne, ale dodatkiem. Niestety, zasady kwalifikacji do igrzysk są bardzo trudne i już sam awans jest ogromnym osiągnięciem. W mistrzostwach świata grają 24 zespoły, na igrzyskach tylko 12. Mamy dwie szanse. Najpierw możemy awansować zdobywając złoto na mistrzostwach Europy, a jak nie wyjdzie pozostanie nam turniej kwalifikacyjny.

- Dziękuję za rozmowę.

Trzeba było teraz siedzieć i tylko kup

Z prezydentem Gorzowa Jackiem Wójcickim rozmawia Renata Ochwat

- Panie prezydencie, jak się pan czuje na fotelu wóldarza miasta po pierwszych miesiącach urzędowania?

- Jestem w ciągłym biegu, zbieram i analizuję informacje z zakresu pracy urzędu. Generalnie jestem zadowolony, ogrom pracy nie pozwala mi jednak na większe wytchnienie. Cóż, świętowanie wyboru na prezydenta skończyło się wraz z opuszczeniem sztabu wyborczego (śmiech).

- Skąd się wziął taki Jacek Wójcicki, który dał się poznać najpierw jako społecznik, potem wójt, który ożywił senną gminę Deszczno, a teraz sięgnął po prezydenturę sporego w końcu miasta?

- Wziąłem się stąd, że całe życie lubiłem działać i to dla samego działania, a nie dla jakichś tam profitów. Od dziecka organizowałem występy teatralne, zabawy, potem doszła jeszcze straż pożarna, dożynki, sylwestry, było tego sporo. Potem ktoś mi zaproponował, żebym został radnym. Nie wiedziałam naturalnie, jaka odpowiedzialność się tym wyborem wiąże. Ale pomyślałem, dobrze. Wystartowałem, dostałem największą liczbę głosów i zostałem radnym w wieku 21 lat. No i zacząłem pracę w radzie, zacząłem czytać dokumenty. Okazało się, że taki radny ma realny wpływ na to, co się wokół niego dzieje. To mi się bardzo spodobało.

W 2005 roku, na rok przed wyborami samorządowymi przyszła mi do głowy myśl, że może wystartować na wójta? Byłem aktywnym radnym, starałem się być w wielu miejscach, ludzie zaczęli mówić: - Jacek, a może tak byś wystartował na wójta? Wystartowałem, udało się, w pierwszej turze dostałem 47 procent głosów, a w drugiej 70. To była szkoła życia, zresztą każda kampania wyborcza to jest szkoła życia.

- Za każdym razem nerwy?

- Tak, za każdym. Myślę, że największe to jednak były te przed moją pierwszą kadencją w Deszcznie. Osiem lat temu po raz pierwszy ktoś oskarżył mnie o coś, co było zupełnie wymyśloną, nieprawdziwą historią. Pamiętam, że bardzo mnie to zabolowało. Ale ja i moja rodzina jakoś to przeszliśmy, w myśl zasady „politik musi mieć grubszą skórę”, no i funkcję wójta sprawowałem z ogromną radością i pasją. Lubię tworzenie i naprawianie, więc dziś znów jestem na początku. Rzeczywiście, ktoś mógłby powiedzieć, jaki to

miało sens. Miałem już poukładaną gminę, to wszystko się jakoś toczyło, szło w dobrym kierunku. Trzeba było teraz siedzieć i tylko kupony odcinać, spijać śmietankę. Ale ja jestem niespokojną duszą i wówczas pojawiła się myśl, żeby ponaprawiać Gorzów.

- Ale wróćmy na chwilę jeszcze do Deszczna. Pamiętam, jak szła wielka zima, powódź, to obojętnie kiedy przyjeżdżałem, pan zawsze był na wałach. Albo sypał pan worki, albo przywoził piach czy cokolwiek. Przecież nie musiał pan tego osobiście robić.

- No pewnie, że nie. Ale inaczej nie dałbym rady. Jestem człowiekiem, któremu sprawa przyjemność praca w zespole, ludzie chcą, wiedzieć że jesteś z nimi i dla nich, wtedy są skłonni Cię traktować jak przywódcę i widzą, co tu dużo mówić, że bierziesz na siebie odpowiedzialność...

- Ale odpowiedzialność nie polega na sypaniu worków z piachem...

- Bo to jest współodpowiedzialność za to, co się w gminie dzieje, za mieszkańców. Podejmowałem wówczas też bardzo odpowiedzialne decyzje, kierowałem tym wszystkim, ale byłem z ludźmi. Przecież nie ma nic gorszego, jak dowódca, który siedzi w gabinecie i dowodzi wojskiem, a wojsko ginie na froncie. Dowódca musi mieć rozeznanie, musi być z ludźmi, musi zagrzewać do walki. Ja sam bym tych wałów przecież nie obronił. A wtedy rzeczywiście pracowali wszyscy, w grupie, ciężko. To było coś niesamowitego, prawie 700 osób na wałach. Jak do tej pory to jedno z moich najpiękniejszych doświadczeń życiowych.

- Jeśli zaistnieje taka potrzeba, co oczywiście niechby nigdy się nie stało, to też będzie pan tym razem na Zawarcu sypał worki?

- Nie ma żadnego problemu. Oczywiście, że tak. Zresztą pomimo tego, że pełnię funkcję prezydenta, cały czas jestem członkiem Ochotniczej Straży Pożarnej i jeśli mogę to nadal jeżdżę do zdarzeń...

- No właśnie, a jak to z tą strażą było?

- Zupełny przypadek. W dzieciństwie bałem się bardzo ognia. Jako dziecko, będąc u wujka, przeżyłem pożar. Po sąsiedzku palił się stóg słomy. To było ogromne wydarzenie, bo wielki ogień. Jeszcze burza do tego. Bałem się bardzo. Potem jeszcze przejeżdżaliśmy



Jacek Wójcicki ma 33 lata, urodził się w Deszcznie, gdzie do tej pory mieszka. Jest absolwentem LO w Deszcznie oraz studiów licencjackich na Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Gorzowie na wydziale rekreacji i turystyki oraz magisterskich w dziedzinie ekonomii na Uniwersytecie Szczecińskim. Przez jedną kadencję był radnym gminy Deszczno, gdzie przez ostatnich osiem lat był wójtem. Od 1 grudnia 2014 roku jest prezydentem Gorzowa.

przez Puszcę Notecką, w której w 1990 roku były ogromne pożary. I to też było przerażające. No ale kiedy koledzy szli do tej Ochotniczej Straży Pożarnej, to ja z nimi. Zacząłem się tego fachu uczyć, no i tak mi weszło w krew, że nie da się tego usunąć. To taka choroba zawodowa - strażactwo

- Jaką funkcję pan w tej straży pełni?

- Jestem ratownikiem, ale też kierowcą. Czyli do moich zadań należy dowożenie strażaków na miejsce, obsługa pojazdu podczas gaszenia. Ale jak jest inna potrzeba, to ja zawsze jestem podporządkowany dowódcy,

Żużel jest religią w Gorzowie i trzeba go wspierać. Ale nie kosztem pozostałych dyscyplin.

temu, który jedzie obok mnie po prawej stronie.

- No i doszliśmy do kolejnej fajnej kwestii, czyli Jacek Wójcicki jako kierowca. Bo nie dość, że prowadzi pan ogromne samochody, autobusy, to jeszcze jeździ pan nimi na kraniec świata.

- Ta pasja bierze się stąd, że od dzieciństwa pasjonowałem się wielkimi samochodami ciężarowymi, zresztą do tej pory lubię grzebać w samochodach. Mam swój stary zabawkowy 25-letni autobus, Autosana H 9 21, jaki w PKS jeździł w latach 80. i 90. Dla zwykłego człowieka to kupa złomu. A dla mnie jest to radość. Wspólnie z kolegą go remontujemy, właśnie nam się niedawno zapowietrzył układ paliwowy i już trzecie podej-

ście robimy, aby go odpowiedzieć. To pasja do samego sprzętu, ale też i mój sposób na odpoczynek. Bo dla mnie sensem jest nie tylko dotarcie do celu podróży, ale też liczy się sama podróż. Mogę to tak wyjaśnić, że gdyby mi ktoś powiedział, że trzeba jechać do Rzeszowa, Paryża czy gdziekolwiek, to jadę. Dla drogi, ale i dla celu. Zresztą marzy mi się, aby kiedyś zasiąść za sterami dużego samolotu, marzy mi się licencja pilota, no ale jeszcze musi sporo wody upłynąć, aby to marzenie spełnić. Na razie zostaję na ziemi. No i na tej ziemi lubię jeździć autobusami z ludźmi, bo taki kierowca jest trochę jak pilot (śmiech).

- Skoro znaleźliśmy się znów na ziemi, to porozmawiajmy o kolejnej pana pasji, gotowaniu. Bo nie tylko rozkręcił pan Święto Pieczonego Kurczaka, ale zawsze coś pan tam własnoręcznie gotuje, skąd to się wzięło?

- To z kolei bierze się z tego, że wokół kuchni gromadzą się ludzie. A ja zawsze dobrze się czułem w kontakcie z nimi. Chciałem nawet iść do gastronomiki ale rodzina mi odradziła. Akurat w tym czasie otwierało się w Deszcznie Liceum Ogólnokształcące, więc do niego poszedłem. Ale lubię gotować, przede wszystkim dla kogoś, bo to jest radość, przyjemność. Zdarzało mi się gotować dla dziewczyny, dla kolegów strażaków czy podczas jakiejś imprezy. Lubię sprawiać komuś, a tym samym i sobie radość. Przecież samo jedzenie jest przyjemnością, przynajmniej dla mnie, niestety.

- A co najbardziej lubi jeść prezydent Jacek Wójcicki?

- Będę tradycjonalistą. Schabowy. Jak wyjeżdżam TIR-em w trasę i nie ma mnie powiedzmy ze dwa tygodnie, to zaraz po przekroczeniu granicy zatrzymuję się w pierwszym barze i schabowy. Koniecznie (śmiech). Oczywiście, że lubię też i inną kuchnię, teraz staram się jadać bardziej dietetycznie, jakieś sałatki, rukola. No może nie przepadam za owocami morza, czyli czymś co ma oczy na talerzu.

- No dobrze. Usypał pan wały, ugasił pożar, pojechał na drugi koniec Europy, a na końcu nakarmił pułk wojska. Gdzie w tym wszystkim jest czas na relaks?

- No właśnie to było to. Ja jestem bardzo aktywny, więc słodkie nicnierobienie zdarza mi się bardzo rzadko. Zresztą takich leniwych niedziel zwyczajnie nie lubię. Ale mam coś takiego, że mój organizm sam wskazuje, kiedy czas na odpoczynek. Dwa razy do roku, na przesileniach wiosennych i jesiennych muszę odpocząć, bo inaczej zwyczajnie padnę. I to robię, odpoczywam od pracy zawodowej, bo i tak nic w tym czasie nie robię.

- A ja myślałam, że relaksuje pana muzyka. Bo płynie w gabinecie podczas rozmowy, spotykałam pana na różnych wydarzeniach muzycznych, jak choćby muzyka w Raju czy Woodstock.

- Ależ naturalnie. Jestem wychowany w hałasie. Cały czas żyję w szumie. Zasypiam przy muzyce, cały czas słucham bardzo różnej muzyki. Lubię szukać czegoś nowego, a jako że się szybko nudzę, to nie potrafię dosłuchać utworu do końca, co bywa upiorne dla

pasażerów w moich samochodach. Szum to także włączona non stop w domu radiostacja strażacka, mam już tak, że budzę się w nocy, kiedy usłyszę komunikat, zanim zawyje syrena. Poza tym często słucham lotnictwa...

- Jak to, lotnictwa?

- No tego, co się dzieje w powietrzu. Bo okazuje się, że wokół nas są takie Matriksy, światy, o których nie mamy pojęcia. Jakbyśmy włączyli CB-radio, to by się okazało, że tu jest życie. Podobnie jest z samolotami, bo ciągle ktoś gdzieś leci. Słuchanie lotnictwa, to ma mocno niepewną minę (śmiech). (Prezydent podchodzi do komputera, po chwili znajduje wieżę kontrolną w Krakowie i słychać komendy kontrolera oraz odpowiedzi pilota, który właśnie podchodzi do lądowania na Balicach). Bywa, że słucham samolotów w biurze i często, jak ktoś przychodzi i słyszy ten dialog, to ma mocno niepewną minę (śmiech). - oczywiście żartuję.

- No dobrze, to porozmawiajmy o zawodowych sprawach...

- No i właśnie się okazuje, że nie ma czasu na te sprawy...

- Ależ są. Panie prezydencie, co pana najbardziej zaskoczyło po objęciu fotela wóldarza miasta?

- Przede wszystkim odbiór mojej osoby przez mieszkańców oraz energia, jaka w ludziach jest. To niewiarygodne, jak ludzie w mieście są chętni do działania. Dość przypomnieć Orszak Trzech Króli, przyszły tysiące uśmiechniętych i radosnych gorzowian. Zresztą jak chodzę ulicami, to ludzie się ze mną fotografują, podsuwają mi różne pomysły. Ludzie chcą się włączyć do współtworzenia zmian. I właśnie ci ludzie, to największy kapitał, jaki Gorzów ma.

- Ale Gorzów ma też kilka takich dość poważnych bolączek. Takich zauważalnych na co dzień, jak kompletnie zdevastowane drogi i chodniki, zdevastowana zielen, niszczące zabytki, słaby rynek pracy, umierające śródmieście. Ma pan już jakieś recepty choćby na te bolączki?

- Przede wszystkim chcę powiedzieć, że czasy, w których to władza przynosi kompletne i gotowe rozwiązania, już minęły. Teraz jest czas, aby rozwiązywanie różnych pilnych spraw poszukać razem z mieszkańcami. Bo miasto ma być przede wszystkim dla mieszkańców. Oczywiście, są inwestycje, które my prowadzimy, bo muszą być zrealizowane, jak choćby kwestie kanalizacji, wodociągów, kanalizacji deszczowej. I to się toczy

ony odcinać

poza mieszkańcami, natomiast inne kwestie powinny być rozwiązywane wspólnie z mieszkańcami. Trzeba tylko ludzi skłonić, aby zechcieli się swymi pomysłami podzielić, posłuchać ich, potem te rozwiązania realizować. Bo prosto byłoby wydać komendę: zróbcie to, to i to, a machina urzędnicza rusza. Nie o to chodzi. Czynimy rekonesans przy pomocy Wojciecha Kłossowskiego, specjalisty od rewitalizacji społecznej, prowadził ją między innymi w Lublinie, Łodzi i innych miastach, który pomoże rozwiązać problemy miasta, te, które pani wymieniła. Urząd ma być dla mieszkańców, a nie odwrotnie. My mamy pomagać, a nie przeszkadzać.

- Poważnym problemem jest także wojna, jaka toczy się wokół miejskich instytucji kultury. Przeżyliśmy wojnę o autonomię Jazz Clubu, teraz po mieście idzie plotka, że zamierza pan likwidować orkiestrę Filharmonii Gorzowskiej. Ma pan receptę na uspokojenie nastrojów?

- Największym problemem gorzowskiej kultury jest to, że instytucje musiały ze sobą konkurować. Zresztą nie tylko instytucje, bo i ludzie kultury coś sobie nieustannie udowadniali. Mówiąc brutalnie i kolokwialnie - czas sobie wykrzyczeć żale, spotkać się, wyrzucić wszystko, co nas boli i zacząć znów działać, ale bez niepotrzebnych napięć. Jeśli nie zaczniemy współpracować, to nie ma szans, aby o gorzowskiej kulturze było głośno. Czas już, wyrosnąć z pewnych zachowań, jak z „hejtowania”, czy podobnych. Bo mamy tu sporo ludzi, którzy naprawdę daleko zaszli, jak choćby Michał Wróblewski, Dawid i Michał Kwiatkowski, Adam Baldych, Piotr Bukartyk. My powinniśmy być z nich dumni, bo to nasi ambasadorzy. I miasto powinno im dawać podstawę, bazę, żeby oni mówili o Gorzowie, żeby do Gorzowa wracali. Widzę w mieście miejsce dla Filharmonii, Jazz Clubu, ale także dla disco-polo, jeśli naturalnie będzie na nie zapotrzebowanie. Jak do tej pory nie było klimatu dla symbiozy i współpracy, i to się musi zmienić. Bo celem nadrzędnym dla nas wszystkich powinien być rozwój.

- Ważną kwestią jest też gorzowski sport, dla przykładu kibice żużlowi zadają sobie pytanie, czy będzie kontynuacja Grand Prix?

- Myślę, że z finansowego punktu widzenia nie jest to po prostu możliwe. Klub Stal Gorzów ma spore zobowiązania finansowe. Trzeba się zastanowić, jak to uregulować. Raczej nie będzie też kontynuacji GP, bo warunki stawiane przez organizatorów są bardzo wygórowane,

a proszę pamiętać, że już kilkanaście milionów poszło na tę imprezę. Nie stać nas zwyczajnie na to. Żużel jest religią w Gorzowie i trzeba go wspierać. Ale nie kosztem pozostałych dyscyplin.

- No właśnie, co z innymi klubami?

- No właśnie, nie można kosztem tylko jednej dyscypliny zamknąć innych. Gorzowski sport też przejdzie głęboką diagnozę, która pokaże faktyczną kondycję. I podobnie jak w przypadku kultury, trzeba sobie pewne rzeczy wyjaśnić, zamknąć etap rywalizacji o wszystko, a zacząć współpracę. Bo nie ma innej drogi, aby osiągać sukcesy.

- A teraz inna kwestia. Gorzów wyrósł na stolicę ruchów społecznych. Tu urodził się ruch Ludzie dla Gorzowa. Pana zdaniem trzeba się z takimi ruchami liczyć?

- Ja myślę, że w ogóle się zmienia optyka samorządowa. I to właśnie ruchy społeczne będą przejmować władzę. Bo utrwała się w ludziach taki pogląd: nie interesuje ich za bardzo, co się dzieje w świecie czy polityce. Ich interesuje to, co się dzieje na ulicy, w bezpośrednim sąsiedztwie. I to na tyle, że oni chcą i zaczynają współuczestniczyć we władzy. I to widać w Gorzowie, po tej całej aktywności, jaka tu jest. Ludzie poświęcają swój wolny czas, aby coś wokół siebie zmienić, w pracy społecznej, nawet w pomocy sąsiadom. Kiedyś czyny społeczne były z musu, dziś są z ochoty do wspólnego działania. Mamy narzędzia do wspierania takiej aktywności, jak choćby budżet obywatelski. Po to są plany tworzenia rad dzielnic czy osiedli, bo ludzie najlepiej znają swoje potrzeby i bolączki. To właśnie mieszkańcy mają prawo, ale i obowiązek decydowania o tym, co w mieście się dzieje. Jak pokazała praktyka, nie wszystkie ruchy miejskie to udziwnięcia, ale naszemu się udało. Z niego wyszli radni. Ruch bierze odpowiedzialność za rządzenie w mieście. Inna rzecz, że staram się budować koalicję całościową, ze wszystkimi radnymi, ale nie zawsze to wyjdzie, bo zawsze może się pojawić konflikt. Bo zwyczajnie nie ma pieniędzy w budżecie na wszystko. To, że w Gorzowie ruch społeczny jednak doszedł do władzy, to moment, aby pokazać Polsce, że mieszkańcy mogą rządzić miastem.

Od redakcji: Rozmowa została przeprowadzona jeszcze przed kadrowym trzęsieniem w urzędzie miasta, stąd brak jakiegokolwiek odniesień w tej sprawie.

Ludzi przez Wartę łódką przewoził

Znali i lubili go wszyscy, którzy chcieli się przeprawić na lewy brzeg Warty.

To do jego łódki w niedzielne, żużlowe mecze ustawiały się kolejki kibiców. - Był bardzo fajnym sąsiadem - wspominają Pawła Zacharkę ci, co go jeszcze pamiętają.

- To był taki miły pan, życzliwy i niekłopotliwy dla nikogo - opowiada pani Elżbieta, która jako dziecko mieszkała tuż obok znanego warciańskiego przewoźnika przy ul. Gwiazdziej. 6 marca tego roku minie 24 rocznica śmierci legendarnego przewoźnika.

To były wyciekane przeprawy

- Cały tydzień czekało się na tę wycieczkę. Bo żużel to jedno, ale przeprawa przez Wartę łódką pana Zacharkę, to było coś niezwykłego - opowiada Jerzy Nowak, który całe życie mieszka na prawym brzegu Warty i na lewy, na stadion przez kilka lat przeprawał się właśnie łódką Pawła Zacharkę. - No i to była dodatkowa nagroda za dobre sprawowanie. Bo jak było inaczej, to szło się pieszo przez główny most - wspomina.

Gorzowianie, dziś już ci trochę starsi wspominają, że kilka razy przewoźnik to i ludzkie życie uratował, bo jak nie raz i nie dwa ktoś dostał się pod łódź na zamrażającą rzecę, to właśnie Paweł Zacharek był tym, który na pomoc spieszył.

Przez Landsberg też pływał

Przewoźnik urodził się 14 grudnia 1916 roku na rodzinne barce w Bydgoszczy, podobnie jak i jego brat Bruno. Tyle, że Bruno urodził się również na barce, ale w Berlinie.

Naturalną koleją rzeczy było, że Paweł zostanie wodniakiem. I przez II wojnę światową z polskiej Bydgoszczy do Berlina pływał



Czasami na przeprawę łódką Zacharka czekało całkiem sporo ludzi

właśnie przez Landsberg wożąc zboże lub inne towary. Taka komunikacja była wówczas możliwa dzięki stworzeniu w drugiej połowie XVIII wieku drogi wodnej łączącej przez system kanałów Berlin z Bydgoszczą i dalej z Gdańskiem.

Po wybuchu II wojny światowej przewoźnik trafił do niemieckiej niewoli. Ale polegała ona na tym, że nadal pracował na barkach.

Firma w Gorzowie

Do Gorzowa Paweł przyjechał już w końcówce 1944 roku. Namówił go do tego brat Bruno. Warunki do mieszkania dla wodniaków były dobre, bo Warta jeszcze była drożnym kanałem żegludowym. Istniała więc duża możliwość znalezienia pracy.

Jednak los chciał inaczej. Późnym wieczorem 30 stycznia 1945 roku wycofujący się z Landsbergu wysadzili w powietrze most kolejowy. Było to bardzo dogodnie przejście na lewy brzeg rzeki także i dla pieszych, bo znacznie skracało drogę, zwłaszcza tym pra-

cującym w zakładach tam ulokowanych.

No i krótko po zakończeniu działań wojennych Paweł Zacharek uruchomił swoją firmę przewozową. Miał nawet na tę okoliczność pieczęć: „Przewóz Łodzią, Paweł Zacharek, Gorzów, ul. Fabryczna”. Stempel do dziś znajduje się w posiadaniu Stefana Kluja.

No i tak pływał przez Wartę, wożąc gorzowian w obie strony. Interes działał do 1965 roku, kiedy z pompą otwarto nowy most kolejowy z kładką dla pieszych. W tej chwili działalność firmy przewozowej Pawła Zacharkę straciła bowiem rację bytu.

Kapitan w żegludzie bydgoskiej

Choć firmy już nie było, to jednak doświadczenie zawodowe wypracowane przez lata przedwojenne i już powojenne zapoczątkowało. Paweł Zacharek zaczął pracować w gorzowskim oddziale Żegludki Bydgoskiej. To właśnie w tej firmie, już jako kapitan żegludki śródlądowej pływał dużą barką o wyporności około

430 ton. Wodne szlaki wiodły go na Zachód, do Niemiec, Holandii, Belgii, Luksemburga. Zacharek na zimę 1981-82 został na Zachodzie. Wtedy też w Bydgoszczy ktoś w kadrach przyjrzał się dokładnie jego papierom i stwierdził, że przekroczył wiek emerytalny. A Paweł Zacharek zawsze mówił, że musi jeszcze pływać, bo nie ma wypracowanych lat pracy. Tej zimy jednak w żegludze nikt nie chciał słuchać wyjaśnień kapitana i tak nieodwołalnie przeszedł na emeryturę. Do końca życia, czyli do 6 marca 1991 r. mieszkał w Gorzowie i tu zmarł pokonany przez ciężką chorobę. Jest pochowany na gorzowskim cmentarzu przy ul. Żwirowej.

Pomnik na żelaznym szlaku

Kapitan Paweł Zacharek był na tyle barwną i nietuzinkową postacią, że znalazł się w kręgu zainteresowania mecenasa Jerzego Synowca i Arkadiusza Grzechocińskiego, znanych gorzowian, którzy upamiętniają kolorowe gorzowskie osobowości, właśnie stawiając im metalowe rzeźby.

Postać Pawła Zacharkę, siedzącego w łódce Ksenia pojawiła się w 2008 roku. Wówczas to odbyło się odsłonięcie jego pomnika. Postać waży 130 kg, siedzi tyłem do Warty na Bulwarze Zachodnim, mniej więcej tam, gdzie do 1965 roku istniała przystań przewoźnika. Autorką rzeźby jest Zofia Bielińska, znana gorzowska rzeźbiarka.

A postać jest kochana przez gorzowskie dzieci, które ciągną rodziców na spacer do pana w łódce, podobnie jak do pana na motorze czy do pana z łaską.

RENATA OCHWAT



No i tak pływał przez Wartę



Adresy

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej
ul. Wełniany Rynek 3
66-400 Gorzów Wlkp.
tel. (095) 73-87-101,
73-87-102
biuro@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl

Program Realizacji Świadczeń Wzajemnych pomaga tym, którzy nie są w stanie spłacić zaległych należności.

Więcej na
zgm.gorzow.pl/odpracujdlug/
tel. (095) 73-87-125
odpracujdlug@zgm.gorzow.pl

Biuro Zamiany Mieszkań
ul. Wawrzyniaka 4
tel. (095) 73-87-129,
(095) 73-62-100
bzm@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/zamianamieszkania/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 1
ul. Wyszyńskiego 38
tel. (095) 73-87-139,
73-87-142, 73-87-145
adm1@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm1/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 2
ul. Towarowa 6A
(budynek przychodni I p.)
tel. (095) 73-87-151,
73-87-155, 73-87-156
adm2@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm2/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 3
ul. Armii Polskiej 29
tel. (095) 73-87-162,
73-87-165, 73-87-176
adm3@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm3/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 4
ul. Drzymały 10
tel. (095) 73-87-180,
73-87-182 do 184,
73-87-186
adm4@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm4/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 5
ul. Gwiaździsta 4
tel. (95) 73-87-203 do 205,
73-87-209 do 211
adm5@zgm.gorzow.pl >
zgm.gorzow.pl

trzy pytania do...

Zachęcamy dłużników do skorzystania z danej szansy

Pawła Jakubowskiego, dyrektora Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej

- Zobowiązania części najemców mieszkających w budynkach administrowanych przez ZGM stale rosną i wynoszą już 47 milionów złotych. Co jest powodem tego, że ludzie coraz częściej nie płacą za czynsz?

- Przyczyn jest kilka. Najistotniejsza tkwi w tym, że wszystkie gminy w Polsce posiadające zasoby mieszkaniowe, są takim ostatnim ogniwem łańcuszka nie-szczęść. Chciałbym, żeby to zostało wyraźnie podkreślone, ale spółdzielnie mieszkaniowe, deweloperzy czy inni administratorzy mogą za zgodą sądów eksmitować dłużników. Gmina natomiast musi w takich sytuacjach zapewnić im lokal socjalny. Słowem, tacy „najtrudniejsi” klienci trafiają pod naszą opiekę. Do tego rodziny o wyższych dochodach, a więc najlepsi płatnicy, raczej długo nie zamieszkują w komunalnych zasobach. Wolą budować się lub przeprowadzać do nowszej zabudowy. Dalej, rokrocznie rosną ceny za wodę i ogrzewanie, a są one wpisane w czynsz. I niestety, ci co nie płacą czynszu, zalegają również z płatnościami za składniki mediów znajdujących się w tej opłacie. I ktoś musi pokryć koszty zużycia przez nich wody czy ogrzewania. Jako zakład nie możemy mieć zaległości, dlatego pokrywamy te



Fot. Robert Borowy

zadłużenia z pieniędzy wpłacanych przez innych lokatorów. Na wspomnianą kwotę 47 milionów zadłużenia, 33 miliony to podstawowe zaległości, a 14 to odsetki. W porównaniu do 2013 roku dług wzrósł o cztery miliony. W porównaniu do innych polskich miast zaległości te nie są aż tak wysokie, bo dla przykładu w Elblągu zobowiązania wynoszą ponad 60 mln zł, choć miasto jest

takiej samej wielkości jak Gorzów. Mógłbym tu podać wiele innych przykładów, które pokazałyby, że u nas ten problem jest proporcjonalnie mniejszy, ale on występuje i musimy z nim walczyć na tyle, na ile pozwala nam prawo. Tak też czynimy.

- Jednym z pomysłów było wdrożenie w życie Programu Realizacji Świadczeń Wzajemnych. Są dłużnicy zainteresowani

udziałem w tym programie?

- Zacznę od tego, że sumy wypracowywane w ramach tego programu nie są na tle ogólnego zadłużenia znaczące. Najważniejsze, że część rodzin uzyskała szansę odpracowania zobowiązań. Nam, jako administracji, zależy na każdej złotówce, ale zależy również, żeby jak najmniej osób wpadało w spiralę zadłużenia, bo w którymś momencie stracą jakąkolwiek szansę ich spłaty. W pierwszych pięciu miesiącach działania programu w 2013 roku 61 rodzin odpracowało dług wielkości 17 tysięcy złotych. W całym 2014 roku tych rodzin było ponad 230 i wartość wykonanych przez nich prac wyniosła 77 tysięcy. Są to prace proste, ustalane z każdym z osobna. Możliwość sądu dużo większe, dlatego cały czas zachęcam dłużników do skorzystania z danej szansy. Zgodnie z przyjętymi zasadami z programu mogą skorzystać rodziny będące w trudnej sytuacji materialnej, mające zadłużenie większe niż sześciomiesięczny czynsz oraz realizujące bieżące opłaty czynszowe. Program to jedno, są inne możliwości porozumienia się z nami i zmniejszenia zadłużenia. Można starać się o dodatek mieszkaniowy, rozłożyć dług na raty i w takim przypadku nie są naliczane odsetki.

- Jak duża najemców mających zaległości w

opłatach wyraża chęć współpracy z administracją celem spłacania zobowiązań?

- Takich danych statystycznych nie prowadzimy, ale jest to niewielkie grono. To bardziej my wychodzimy z różnymi propozycjami, zachęcamy tłumacząc, jakie grożą konsekwencje w przypadku rosnących zadłużeń. Bywa, że sprawy trafiają do sądu, ale to ostateczność. Chciałbym przypomnieć, że pod względem ściągłości zobowiązań jesteśmy bardzo skuteczni. W przeciwieństwie do wielu gmin, nie dopuszczamy do tego, żeby zaległości się przedawniały. Nie kryję, że w Gorzowie pod tym względem prowadzimy dosyć ostrą politykę, dzięki której - jak wspominałem - zadłużenie jest proporcjonalnie niższe aniżeli w wielu polskich miastach. Swoją drogą, póki gminy będą zobowiązane do prowadzenia tak obszernej pomocy mieszkalnej, jak w tej chwili, póty będziemy musieli żyć z problemem zadłużenia jeszcze długo. Zawsze w społeczeństwie znajduje się grupa osób mających poważne kłopoty materialne, a gdzieś mieszkać muszą. Uważam, że należy wprowadzić takie rozwiązania systemowe, żeby z jednej strony znaleźć sposoby na pomaganie konkretnym ludziom, z drugiej odejść od obciążania wspólnot i administracji dodatkowymi kosztami.

RB

Przywilej i obowiązek właściciela

Wspólnota Mieszkaniowa to związek wszystkich właścicieli lokali w budynku.

Wspólnota powstaje z mocy prawa poprzez sprzedaż, czyli wyodrębnienie prawa własności pierwszego lokalu w budynku należącym pierwotnie np. do dewelopera, gminy bądź Skarbu Państwa. Nie ma przy tym znaczenia czy zbywane są mieszkania, czy lokale użytkowe. Każdy członek wspólnoty ma prawo i obowiązek współdziałania w zarządzaniu nieruchomością wspólną. Tym samym powinien przynajmniej raz w roku wziąć udział w zebraniu właścicieli.

W dużych wspólnotach mieszkaniowych powstających w budynkach obejmujących ponad siedem lokali zarząd lub zarządca nieruchomości wspólnej zobowiązany jest zwołać zebranie ogółu właścicieli co najmniej raz w



Fot. Archiwum

roku. Musi to uczynić przed końcem pierwszego kwartału. Gdyby tego nie zrobił, to może, a nawet powinien zwołać tego rodzaju spotkanie dowolny członek wspólnoty, czyli każdy

właściciel mieszkania lub lokalu użytkowego.

W małych wspólnotach (do siedmiu lokali łącznie) nie ma konieczności stosowania metod kierowania sprawami wspólnymi

właścicielami dużej wspólnoty. Dlatego nie ma też obowiązku zwoływania dorocznych zebrań właścicieli. Mogą się oni porozumiewać w sposób mniej sformalizowany. Jeżeli jednak zechcą, to i im wolno stosować zasady zapisane z myślą o dużych wspólnotach w ustawie o własności lokali.

Celem tzw. zebrania rocznego jest ocena pracy zarządcy, któremu zarząd powierzono, poprzez wysłuchanie jego sprawozdania, udzielenie mu absolutorium za działania w roku ubiegłym oraz określenie planu gospodarczego i wysokości opłat na rok następny. Warto na zebraniu zwrócić uwagę na proponowane przez zarządcę działania w nadchodzących miesiącach, a często dotyczące remontów, moderni-

zacji, finansowania przyszłych inwestycji poprzez zaciągnięcie kredytu czy też innych ważnych spraw mających wpływ na komfort mieszkania. Uczestnicząc w zebraniu, mamy bezpośredni wpływ na wszystkie sprawy poruszane na zebraniu, możemy wnioskować o zmianę treści uchwał lub proponować wykonanie innych czynności niż te, które zostały przedstawione. Na zebraniu powinni być obecni właściciele lub ich pełnomocnicy. Zarządca nie może bowiem samodzielnie zdecydować o wielu sprawach, które reguluje ustawa o własności lokali, a podejmowane uchwały są wyznacznikiem planu działania na najbliższy rok.

MARIUSZ KOŁCZ

r e k l a m a



HOTEL GORZÓW



HOTEL GORZÓW

pokoje, restauracja
imprezy, konferencje



POKOJE

61 pokoiów
łącznie 100 miejsc noclegowych



RESTAURACJA

nowe menu
imprezy do 100 osób
disco w każdy piątek



NOWA SALA BANKIETOWA

wielofunkcyjna sala do 60 osób
imprezy, spotkania, konferencje

HOTEL GORZÓW, ul. Walczaka 20, Gorzów Wlkp.

tel: 95 722 11 33 e-mail: recepca@hotelgorzow.pl

www.hotelgorzow.pl

Twórczość literacka jest formą wyrażenia osobowości autora

Z Ireneuszem Krzysztofem Szmidtem, prezesem Oddziału w Gorzowie Związku Literatów Polskich, rozmawia Krystyna Kamińska.

- Kto może zostać członkiem Związku Literatów Polskich?

- Osoba zainteresowana członkostwem musi złożyć wniosek, do którego powinna dołączyć co najmniej trzy wydane tomiki poezji lub dwie książki prozatorskie oraz rekomendację władz oddziału, do którego chce przynależeć. Z wnioskiem i książkami zapoznaje się Komisja Weryfikacyjna ZLP, jej członkowie czytają te książki, wydają o nich opinie, które są podstawą do akceptacji wniosku lub odrzucenia.

- Ile osób liczy obecnie gorzowski Oddział?

- Jest nas obecnie 27, mimo bolesnych strat, bo Pegaz zaniósł na niebieski Parnas w ostatnich latach Marię Przybylak, Bronka Słomkę, Kazia Furmana, Jana Grosa.

- Członkami Związku są nie tylko mieszkańcy Gorzowa?

- W samym Gorzowie jest nas 14. Ze względu na wiek i stan zdrowia dwie poetki Stanisława Plewińska i Barbara Trawińska od jakiegoś czasu nie biorą już udziału w naszym życiu literackim. Tych twórczo aktywnych podam w kolejności alfabetycznej: Teresa Borkowska, Krystyna Caban, Łucja Fice, Jerzy Gąsior (Gąsior), Roman Habdas, Agnieszka Kopaczńska-Moskaluk, Zygmunt Marek Piechocki, Aldona Robak, Elżbieta Skorupska-Raczyńska, Anna Strzelec, Tadeusz Szyfer i ja. Mam nadzieję, że niebawem dołączą do nas Agnieszka Moroz, Maria Borcz i Ferdynand Głodzik, którzy spełniają kryteria wymagane przez Komisję Kwalifikacyjną przy Zarządzie Głównym ZLP.

- A inni?

- Kilku naszych członków mieszka zagranicą: Joanna Ziemińska w Sztokholmie, Jurek Grodek we Writzen, blisko Kostrzyna, ale po niemieckiej stronie, podobno Karolem Parno-Gierlińskim zaopiekowała się rodzina w Berlinie. Karol Graczyk wyjechał do Torunia. Bliżej mieszka: Jerzy Alski w Myśliborzu, Edward Dłanian w Sulęcinie, Marek Grewling w Babimoście, Beata Igielska w Skwierzynie, Henryk Wawrzyniec Kordoń w Lubikowie, Ludwik Lipnicki w Drezdenku, Władysław Łazuka w Choszczynie, Irena Zielińska w Międzyrzeczu, Małgorzata Żytkowiak w Barlinku. Mamy swoich



Prezes Ireneusz K. Szmidt z butelką wina sprezentowaną z okazji jubileuszu 10-lecia Oddziału przez właściciela winnicy, pisarza z Zielonej Góry Alfreda Siateckiego.

przedstawicieli w całym regionie.

- Co daje przynależność do ZLP?

- Przede wszystkim poczucie bycia w dobrym towarzystwie. Związek Literatów Polskich zakładał Stefan Żeromski, a później jego członkami byli wszyscy wybitni polscy literaci. Także pewność daną przez Komisję Kwalifikacyjną, że to, co napisałem ma wartość literacką. Skończyły się czasy, kiedy przynależność do organizacji twórczej dawała jakieś nadzwyczajne przywileje. Bo chyba za taki nie można uznać znaczka do marynarki z logo ZLP. Pewnym wyróżnieniem jest też pierwszeństwo w dofinansowaniu wydania książki, jeśli związek uzyska takie fundusze, albo uczestnictwo w almanachu poetów i pisarzy, jak to się stało z okazji niedawnego jubileuszu 10-lecia gorzowskiego oddziału. Nikt już nie nakłada na pisarza funkcji publicznych, jak to było w dawnej polskiej literaturze. Teraz twórczość literacka, a szczególnie poetycka, jest formą wyrażenia osobowości autora. Przy tym, nie wszyscy, którzy piszą książki, chcą gdziekolwiek przynależeć i zawsze im wolno nie być zrzeszonym. W literackim środowisku Gorzowa także są tacy.

- Do 2004 roku gorzowscy członkowie ZLP należeli do oddziału w Zielonej Górze. Dlaczego się oddzielił?

- Nawet byłem wiceprezesem tamtego oddziału. Widziałem jednak, jak ta struktura ogranicza nasze, gorzowskie działania, a o częste kontakty ze środowiskiem zielonogórskim było trudno choćby tylko ze względu na odległość i komunikację. Zaczęłem myśleć o oddzieleniu, a pierwszym krokiem do tego było pozyskanie akceptacji władz zielonogórskiego oddziału. Przyznaję, że uzyskałem ją szybko, a pełną przychylnością i odtąd żyjemy w dużej przyjaźni. Po prostu taki podział był logiczną koniecznością.

- Nadszedł czas, aby powołać autonomiczny oddział.

- Statut ZLP określa, że można powołać oddział, gdy wejdzie w jego skład co najmniej sześć osób, a nas było już 11. Zarząd Główny wyraził zgodę i 18 grudnia 2004 roku, w obecności prezesa Zarządu Głównego ZLP Marka Wawrzewicza, rozpoczęliśmy działalność. Dyrektor WiMBP Edward J. Jaworski zadeklarował pełną i bezinteresowną pomoc organizacyjną przy funkcjonowaniu oddziału. Postanowiono, że siedziba oddziału będzie w wojewódzkiej bibliotece. Życzliwość dyrektora Jaworskiego odczuwamy do dziś.

- Wszystkie spotkania literatów odbywają się w siedzibie biblioteki?

- Konkretnie w Salonie Literackim, gdzie na głównej ścianie wiszą kolorowe karykatury niemal całego środo-

ci.eu), gdzie w formacie PDF są dostępne bezpłatnie wszystkie numery. Dzięki łatwej ścieżce druku starsi i młodszy mogą pokazać to, nad czym pracują. W każdym numerze jest kolumna debiutów, miejsce na nowe wiersze poetów, opowiadania, szkice i felietony oraz kilka kolumn recenzji nowych książek autorów gorzowskich. Dzięki „Pegazowi” środowisko literackie Gorzowa okrępieło.

- Kolejny krok to „Biblioteka Pegaza Lubuskiego”.

- Książki w tej serii zaczęły się ukazywać w 2005 r. Przez blisko 10 lat wydaliśmy 65 książek autorów związanych z Gorzowem i regionem gorzowskim, w tym kilka antologii. Możemy je opracowywać i drukować głównie dzięki dotacjom z budżetu Miasta Gorzowa pozyskiwanym w konkursie ofert dla organizacji pozarządowych, czasem z budżetów sąsiednich miast i gmin, niekiedy pomagają nam osoby prywatne lub firmy przyjazne autorom. Często autorzy wspomagają ten fundusz wkładem własnym, przeznaczając na ten cel otrzymywane stypendia twórcze, nagrody w konkursach lub honoraria za czytanie ich książek w Radiu Zachód.

- Które z książek naszych autorów oceniane są najwyżej?

- Co roku odbywa się konkurs o Lubuski Wawrzyn Literacki za najlepszą książkę literacką wydaną w minionym roku w województwie lubuskim. Są także Wawrzyn Naukowy i Wawrzyn Dziennikarski, ale do nich nie pretendujemy. Główne Lubuskie Wawrzyny otrzymały w tym czasie książki autorów: Witolda Niedźwieckiego (2004), Ireneusza K. Szmidta (2005), Henryka Wawrzyńca Kordonia (2006), Ludwika Lipnickiego (2007), Karola Graczyka (2008), Marka Lobo Wojciechowskiego (2009), Beaty Patrycji Klary (2011) i pośmiertnie „Rzecz o doręczności” Zdzisława Morawskiego (2013). To laureaci, ale wyróżnieniem jest także sama nominacja, a wśród nieminowanych byli: Marek Piechocki, Teresa Borkowska, Irena Zielińska, Agnieszka Kopaczńska-Moskaluk i Beata Igielska. Do zaważonych zaliczyć trzeba także książki Małgorzaty Prusińskiej, Agnieszki Moroz i Alicji Łukasik, które otrzymały od Kapituły Lubuskiego

Wawrzynu Literackiego wyróżnienia za najlepsze debiuty w poszczególnych latach. Przy wyliczaniu sukcesów nie mogę pominąć autorki poczytnych powieści - Małgorzaty Żytkowiak, której książki drukuje renomowane krajowe wydawnictwo Prószyński i spółka.

- Każda promocja „Pegaza Lubuskiego” gromadzi nie tylko autorów, ale także wielu sympatyków i członków ich rodzin.

- Traktujemy te promocje jako otwarte zebrania naszego związku twórczego, gdyż wśród gości upatrujemy wiernych nam czytelników i potencjalnych związkowych koleżanek i kolegów. Prezentujemy wtedy autorów właśnie wydanych książek, a autorzy wierszy lub innych krótszych form czytają swoje utwory, zawsze jest także krótkie przedstawienie innych książek - naszych lub o nas. Zależy nam, aby autorzy byli rozpoznawalni, aby nie ograniczali się tylko do pisanego, ale także dzielili się swoimi sądami.

- W Gorzowie odbywają się także imprezy literackie organizowane nie tylko przez ZLP, ale innych inicjatorów. Nie przeszkadza to Wam?

- Jesteśmy usatysfakcjonowani, gdy ujawniają się inni organizatorzy literackich zdarzeń. A jest ich sporo: spotkania w klubie „Na Zapiecku w ZUO”, cykl „Potyczki Literackie” w pubie „Lubudubu”, wieczory w klubie „Lamus” od tego roku z nową formułą, nawet 15 lat Klubu Poetów Okrągłego Stołu w Grodzkim Domu Kultury jest dobrokiem GDK, a z ZLP wiąże go tylko moja osoba, bo moderuję tam zajęcia. Mamy festiwal literacki „Furmanka” organizowany przez Agnieszkę Kopaczńską-Moskaluk i Beatę Patrycję Klary. Ważną rolę od ponad 30 lat odgrywa sekcja literacka RSTK, a szczególnie jej warsztaty twórcze. W WiMBP są organizowane spotkania z pisarzami i promocje książek, a także Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Zdzisława Morawskiego, w filiach spotkania autorskie, dyskusje o książkach i wystawy. Coraz większą popularność zdobywają wieczory czytania utworów z okazji jubileuszy literackich organizowane przez Beatę Klary. W moim odczuciu jest takich zdarzeń sporo. ■

Filharmonia Gorzowska na fali, co doceniają melomani

Kilka koncertów tylko w tym roku pokazało, że orkiestra Filharmonii Gorzowskiej jest w znakomitej dyspozycji.

Dzięki temu melomani mogą oczekiwać tylko samych spektakularnych wydarzeń. Klasę zespołu doceniają też odbiorcy, bo sala zapelnia się za każdym razem niemal w całości.

Orkiestra i melomani są dokładnie w połowie sezonu. Pierwsza jego część przyniosła wiele wydarzeń. Ale równie wiele, równie interesujących wydarzyło się od 1 stycznia bieżącego roku.

Wydarzeniem dużym i bez precedensu stał się koncert z okazji święta narodowego Rumunii. A to za sprawą niezwykle gości, jak i samego afisza oraz bonusowego bisu. Za pulpitem dyrygentkim stanął bowiem Christian Florea, rumuński dyrygent i wiolonczelista. Był to jego pierwszy koncert w Polsce, ale jak zaznaczył, zna dobrze polską muzykę i dokonania polskich kompozytorów. Drugim gościem wieczoru był rewelacyjny flecista Stefan Diaconu, który ma związki z Polską, choćby przez fakt studiowania w warszawskim Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina. Na afiszu była tylko rumuńska muzyka, i zachwycała ona bardzo. Jednak na zawsze w pamięci fanów zostaną bisy. Bo najpierw maestro Florea zagrał na wiolonczeli, zresztą pożyczonej od Piotra Więclawa, przepiękną melodię hiszpańską, a następnie Stefan Diaconu przy współpracy gorzowskich muzyków wykonał żywiołową ludową piosenkę moldawską. Koncert, pierwszy dla podkreślenia w bieżącym roku, wyznaczył wysoki standard, spowodował, że apetyty muzyczne



Olga Pasiecznik, jedna z najlepszych europejskich śpiewaczek, czarowała głosem.

się zaostrzyły. Fani oczekiwali więcej.

I się nie zawiedli. Następnym koncertem była bowiem gala operowa z maestro Rubenem Silwą za pulpitem, Barbarą Gutaj-Monowid - sopran i Jakubem Monowidem - kontratenorem jako gośćmi wieczoru. I tu znowu zaskoczenie, bo bywalcy gal operowych przyzwyczajeni się do stałych punktów programu, jak Kuplety Barinkaja, arie z „Księżniczki czardasza” czy „Zemsty nietoperza”. Tym razem nic takiego się nie wydarzyło, bo afisz został tak skonstruowany, iż odstąpił inne zachwycające kompozycje wpisujące się w nurt bel canto. W pamięci melomanów zostanie na długo zachwycający „Duet kwiatów” z opery Leo Delibesa „Lakme”. Znakomicie zestrojone głosy państwa Monowid zabrzmiały mistrzowsko.

Filharmonia tradycyjnie też wpisała się w obchody Dnia

Pamięci i Pojednania. Na scenie pojawili się muzycy Filharmonii Północnozachodnoniemieckiej z Herfordu, a solistą był włoski pianista Fabio Bidini. Na afiszu znalazła się między innymi VII Symfonia A-dur, opus 92 Ludwiga van Beethovena. Jednak w pamięci melomanów z tego wieczoru zostanie bonusowy bis wykonany przez Fabio Bidiniego, czyli Nokturn cis-moll z opusu pośmiertnego Fryderyka Chopina. To króciutka kompozycja, grywana zwykle przez wybitnych pianistów jako bis ostatni. Bo jak mówią sami muzycy, po tym drobiażdżku nic już więcej zagrać nie można. Także i tą kompozycją zakończył swój występ w FG Piotr Paleczny, wybitny polski pianista.

Także do klasy wybitnych wydarzeń należy zaliczyć lutowy koncert „Mistrzowie wie-deńscy glamour” z maestro Andrzejem Straszyńskim za pulpitem i siostrami Olgą oraz

Natalią Pasiecznik w rolach solistek. Afisz był tak skomponowany, aby pokazać znakomite umiejętności gości. Bo Olga Pasiecznik, jedna z najlepszych europejskich śpiewaczek, czarowała głosem, Natalia kunsztem pianistycznym w 21 Koncercie Fortepianowym Wolfganga Amadeusza Mozarta, a orkiestra FG porywającym wykonaniem I Symfonii C-dur opus 21 Ludwiga van Beethovena.

Sumując tylko te wydarzenia, można i należy zauważyć jedno - FG jest na fali wznoszącej, nie darmo zbiera same pozytywne opinie i dobre krytyki.

Ważne jest także i to, że instytucja ma już stałą, dość pokaźną, grupę bywalców. Bo jeśli porównać liczbę słuchaczy na każdym koncercie do danych z innych filharmonii, okazuje się, że także i pod tym względem jest w czołówce.

RENATA OCHWAT

Fraszki Szyfera

Tadeusz Szyfer wydał nowy tom fraszek i aforyzmów, zatytułowany „Moje zmyślenia raczej dla dorosłych”.

Szyfer ma niezwykłą łatwość celnego formułowania myśli w formie wierszowanych fraszek lub aforyzmów. **Szacuje, że stworzył ok. 12 tysięcy fraszek, z których opublikowano niespełna 5 tysięcy.** Inne czekają na dopracowanie. Takie podejście świadczy o krytycyzmie autora, który kieruje do druku tylko najlepsze.

Tadeusz Szyfer urodził się 2 lipca 1938 r. w Chrubieszowie. W Gorzowie mieszka od 1945 roku. Debiutował z rozmachem. Nikomu nieznany autor wygrał ogólnopolski konkurs na fraszkę ogłoszony przez jedno z największych wydawnictw „Iskry”, w którym nagrodą było wydanie książki. Tak Tadeusz Szyfer w 1980 roku wystartował z książką „Parę gaf i paragraf”. Następne jego książki to - zawsze o oryginalnych tytułach - „Moje wyboje, czyli prawdy małe dla dojrzałych”, „Wolne igraszki na 102 fraszki, czyli pikantne dania do wyśmiewania”, „Fraszka prawdę ci powie, czyli Prawie biała księga”, „Łeb w łeb - turniej satyryków” (wspólnie z Janem Grossem), „Jaja z PiS-aneek”.

Tadeusz Szyfer - starszy już dzisiaj, jowialny pan z wysokim czołem - dalej jest w pełnej mocy twórczej. Nawet przyłapany na ulicy, sypie jak z rękawa fraszkami i złotymi myślami, na przemian z narzekaniem na zdrowie, na brak forsy czy na wredną politykę.

Zarówno fraszki, jak i aforyzmy Tadeusza Szyfera wyróżnia warsztatowa nienaganność. Na wszystkich jego spotkaniach autorskich licznie zebrana publiczność raz po raz nagradza autora gromkim śmiechem i brawami. Wiele osób zabiera ze sobą do domu perełki humoru Tadeusza, dzięki czemu udaje mu

się sprzedawać na pniu zawsze kilkanaście nowych i trochę starych książek.

Tadeusz Szyfer jest też mistrzem aforyzmu. Potrafi w kilku słowach zawrzeć nie tylko głęboką myśl, ale także ciekawy podtekst. A to duża sztuka.

Jego wierszowane fraszki i aforyzmy były włączane do antologii, np. „Żądło i miód mądrości”, „Aforyzmy polskie”, „Potęga myśli - księga aforystyki polskiej XXI wieku”, „Księga aforyzmów”. Także często publikowane były w lokalnych gazetach, dawniej w „Ziemi Gorzowskiej”, później w „Głosie Gorzowa”, ostatnio w „Pegazie Lubuskim”.

Ostatnio wydany tom fraszek i aforyzmów ilustrował Zbigniew Olchowik. Z właściwym sobie talentem karykaturzysty narysował kilka portretów Tadeusza Szyfera, jak np. ten z okładki.

A poniżej fraszka z najnowszej książki:

Do polityków

Powinni to wiedzieć, bo w tym stanu racja,

Że kompromis lepszy niż kompromitacja!

■ ■ ■

Tadeusz Szyfer „Moje zmyślenia raczej dla dorosłych” - aforyzmy, sentencja, fraszki. Wydawca Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2014. Książka wydana w serii „Biblioteka Pegaza Lubuskiego” nr 67 wydana dzięki funduszom Urzędu Miasta Gorzowa w ramach konkursu ofert. Ilustracje Zbigniew Olchowik. 84 s.

Książkę można kupić w księgarni „Daniel” i w antykwariacie. Także pod adresem e-mail: zlp.gorzow@wp.pl.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

reklama

13 marca 2015, piątek, 19:00

MAESTRO
TADEUSZ WOJCIECHOWSKI

Orkiestra Filharmonii Gorzowskiej
Jacek Kortus / fortepian

KONCERT SYMFONICZNY
**POD MISTRZOWSKĄ
BATUTĄ**

Bilety od 22,00 do 32,00 zł

Wielki mistrz, który jako ostatni Stilonu przed laty wodził

Mało kto już pamięta, że był w Gorzowie kiedyś hokej na lodzie, bo było też lodowisko. Słynny Lodostil przy ulicy Pomorskiej cieszył się olbrzymim

Zaczął się 13 stycznia 1963 r. - na lodowisku przy budynku dzisiejszej AWF rozegrano pierwszy mecz hokejowy między drużyną Miejskiego Ośrodka Sportowego a zespołem Studium Nauczycielskiego. Zwyciężyli hokeiści MOS 5:2. Natomiast w 1968 r. - w pięciolecie pierwszego meczu hokejowego - na nowo zbudowanym „Lodostilu” przy ul. Pomorskiej odbyło się pierwsze spotkanie drużyn hokejowych, w którym zawodnicy Stilonu Gorzów ulegli Sparcie Szczecin 1:16.

Najbardziej znaną postacią gorzowskiego hokeja był trener Andrzej Wołkowski. Postać nietuzinkowa i wielce zasłużona dla polskiego sportu. Trenowani przez staro mistrza hokejowego stilonowcy ocalili się nawet o pierwszą ligę. I kto wie, gdzie byłby dzisiaj gorzowski hokej, gdyby w 1982 r. Lodostilu nie zlikwidowali...

5 marca 2015 r. mija 20. rocznica śmierci Andrzeja Wołkowskiego.

Był sportowcem wszechstronnym. Uprawiał wycieczki, wioślarstwo i kajakarstwo, ścigał się na rowerze i grał w piłkę nożną. Przygodą jego życia stał się jednak hokej na lodzie, któremu poświęcił swą młodość, wiek średni i lata dojrzałe. Startował w mistrzostwach świata i na igrzyskach olimpijskich, był trenerem mistrzów Polski i Jugosławii. Był ostatnim, który hokeistów ZKS Stilon wodził... ANDRZEJ WOŁKOWSKI.

Dali kij do łapy i kazali strzelać

Urodził się w 1913 roku w grodzie pod Wawelem. W Krakowie więc rozpoczął swą długą karierę hokejową. W Towarzystwie Gimnastycznym Sokół. Pomógł mu w tym przypadek, jak to zwykle w życiu bywa. Uwielbiał jazdę na łyżwach, a najbliższe lodowisko należało właśnie do Sokola. Spędzał tam całe popołudnia, ślizgając się bez opamiętania. Była to kosztowna zabawa. Bilet wstępu kosztował całe 20 groszy. Na szczęście mama rozumiała i pochwałała namiętność syna, gdyż sama lubiła poślizgać się na łyżwach. Znajdowała więc owe 20 groszy.

Trwało to kilka lat, aż któregoś dnia...

- Podszedł do mnie jakiś facet, który często nam się przyglądał i zapytał, czy



Andrzej Wołkowski (stoi jako ostatni z prawej) i jego stilonowska drużyna.

chciałbym grać w hokeja. Miałem 14 lat i o żadnym hokeju jeszcze nie słyszałem. Propozycja jednak mnie ucieszyła, bo poparta była kartą wolnego wstępu na lodowisko Sokola.

Zacząłem chodzić na treningi. Przez pierwsze dni jeździłem jak dawniej. Wreszcie dali mi kij do łapy, rzucili krążek i kazali strzelać do bramki. Antek Reyman, późniejszy serdeczny kolega z drużyny, jał mi pokazywać, jak należy nakładać krążek, jak ciągnąć, jak strzelać, by ten fruwał w powietrzu. Nic mi nie wychodziło. Co uderzę, to krążek sunie po lodzie i tak w kółko. Ani o centymetr nie mogłem go podnieść do góry. Złościło mnie to okrutnie. Postanowiłem potrenować w domu. Zamknąłem się w pokoju i dawać po parkiecie strzelać w drzwi. Waliłem tak do czasu, gdy z krzykiem wpadła matka i zobaczyła drzwi pięknie obite uderzeniami krążka. Do stałem manto, ale cieszyłem się, że zaczyna mi coś wychodzić. Na lodzie jednak znów nie wychodziło. Spróbowałem więc strzelać w czasie jazdy. O dziwo, krążek unosił się w powietrzu.

Po kilku miesiącach treningu Andrzej Wołkowski rozegrał swój pierwszy w życiu mecz. Sokół spotkał się z RKS Wawel. Były to więc lokalne derby, które zawsze wywołują wiele emocji. Łatwo można sobie wyobrazić emocje debutanta...

- Przyszedł do mnie pan Olek Kłaput, kierownik sekcji i bez żadnego wstępu powiedział: jutro grasz mecz. Rzu-

ciłem mi pod nogi sprzęt i poszedł sobie. Zgłupiałem. Jaki mecz? Nie znałem ani prze-

pisów, ani zasad gry. Kolejdy obiecali mnie nauczyć... Całą noc nie spałem. Taki byłem zdenerwowany. W szatni nie wiedziałem nawet, jak mam się ubrać. Suspensory były wówczas gumowe, ochraniacze na nogi - piłkarskie getry za krótkie, a spodniki wyglądały na mnie jak slipy kąpielowe. Nogi miałem praktycznie gołe. Jedynie rękawice pasowały jako tako.

Z początku nie wiedziałem, co z sobą zrobić na lodowisku. Pętałem się bez składu i ładu, oglądając się rozpaczliwie na kolegów. Aż się zeżliłem. Co tam koledzy, pomyślałem. Dopadłem krążek i wio do przodu przez całe lodowisko, i bęc na bramkę, bęc. Bramkarz normalnie się wystraszył. Wpuścił jednego gola, drugiego, trzeciego... Zdobyłem siedem bramek. Od tej pory stałe występowałem z numerem siedem na plecach czy to w klubie, czy w reprezentacji.

Trzech muszkieterów

W barwach Sokola grał przez pięć lat, zyskując miano jednego z najlepszych napastników w kraju. W 1933 roku, za zgodą wszystkich zainteresowanych, znalazł się w Cracovii. Cracovia w owym czasie dysponowała dwójką świetnych napastników: Adamem Kowalskim i Czesławem Marchewczykiem, którzy mieli już za sobą start na olimpiadzie w 1932 roku w Lake Placid. Obaj grali na skrzydłach, brakowało im środkowego. Został nim Andrzej Wołkowski.

Jeszcze w tym samym roku atak Cracovii stał się podporą reprezentacji narodowej

Polski. W kraju nie mieli sobie równych, na świecie zaliczani byli do najlepszych. Nie bez powodu nazywano ich trójką muszkieterów.

A. Wołkowski występował w drużynie narodowej, z przerwą w okresie wojny, do 1949 roku. Zaczynał reprezentacyjną karierę, mając lat 20, skończył w 36 roku życia. Kilka razy brał udział w mistrzostwach świata, dwukrotnie startował na igrzyskach olimpijskich. Strzelił niezliczoną liczbę goli. Grał fair i cieszył się sympatią kolegów oraz kibiców. Nie omijały go kontuzje i urazy, ale zawsze starał się być do dyspozycji trenerów.

Z imprez najwyższej rangi najbardziej utkwiała mu w pamięci olimpiada 1936 roku w Garmisch-Partenkirchen, gdzie polscy hokeiści zajęli szóste miejsce, tocząc dramatyczną walkę z Kanadyjczykami i Austriakami o wyjście z grupy eliminacyjnej. Trenerem polskiej drużyny był Rolf Adamowski, człowiek, który w 1924 roku zaczął Polaków uczyć gry w hokeja na lodzie.

- Przed pierwszym meczem w Ga-Pa trener zarządził rozgrzewkę na naturalnym lodowisku znajdującym się na jeziorze. Jezioro było duże i obawiano się, że lód załamie się pod własnym ciężarem, gdyż powstawały już garby. Wyrąbano więc z brzegu przeręble, aby zapewnić dopływ powietrza pod lód. Ja, nie chcąc nadkładać drogi idąc wyznaczoną ścieżką, postanowiłem pójść na skróty. Przeskoczyłem przez barierkę i patrzę... lecę prosto do wody. Marchewczyk się śmieje, że trenuję pływanie

do letniej olimpiady, a ja wściekle wyłażę z wody. Rozglądam się dookoła i widzę, że w pobliżu siedzi sobie na krzeselku Bawarczyk i także rechocze. Ty jesteś już 21, co tak skoczył, mówi do mnie po niemiecku. Ot, miał zabawę.

Na olimpiadzie w Ga-Pa bywały jednak momenty mniej zabawne, choć z czasem i one w ustach A. Wołkowskiego przybrały charakter humorystycznej anegdoty. Ale wtedy śmiać mu się nie chciało...

- Graliśmy mecz z Kanadyjczykami, u których na obrobie występował potężny chłop, prawie dwa metry wzrostu i ponad sto kilo żywej wagi. W czasie naszego spotkania padał gęsty śnieg. Co pięć minut sprzątano lodowisko, a i tak trudno było się po nim poruszać. Wreszcie udało mi się nabrać szybkości i ruszyć z krążkiem do przodu. Miałem przed sobą tylko wspomnianego obrońcę. Ja w lewo, on w lewo. Ja w prawo, on w prawo. Zrobiłem zwód, żeby wybić go z tego rytmu lewo-prawo, lewo-prawo, i... wpadłem prosto na niego. Wziął mnie na ramię, do stałem w szczękę i tak wyprostowany poleciałem plecami na lód.

Ocknąłem się w szpitalu, gdzie poskładano mnie do kupy i położono na łóżku. Miałem złamany nos, nadwyrężony kręgosłup i byłem cały obolały. O mało się nie załamałem, ale zobaczyłem na sąsiednim łóżku rumuńskiego saneczkarza, który miał szczęście trafić prosto w drzewo. Rozpruty od góry do dołu, cały w bandażach. Pomyślałem więc, że to, co

mnie spotkało, to jeszcze nic w porównaniu z tamtym. Spakowałem manatki i ku zdziwieniu lekarzy oraz kolegów wróciłem do zespołu.

Następnego dnia A. Wołkowski był znów na lodzie. Hokeiści to jednak twardzi ludzie...

- Tym razem graliśmy z Austriakami. Mecz sędziował Belg Andre Luace, prezes Światowego Związku Hokeja na lodzie. Ten sam, któremu na mistrzostwach świata 1931 roku w Krynicy rzucono kalosz pod nogi. Widać zapamiętał to sobie dobrze. Austriacy prowokowali bójki, kiedy zaś okładaliśmy się kijami po łbach, on spokojnie odwracał się plecami i wdawał się w pogawędkę z kibicami. Kowalski dostał kijem w oko, które wyszło mu niczym ślimak ze skorupy. Marchewczykowi rozwalono nos. Ludwiczakowi też się zdrowo oberwało. Mnie się jakoś upiekło, bo do bijatyki - byłem przecież nie w pełni sił - specjalnie się nie przykładałem.

Graliśmy jednak dalej. Austriacy prowadzili 2:1. Na pięć sekund przed końcem każdego meczu włączała się buczek, który buczał do ostatniej sekundy spotkania. Wtedy wiadomo było, że to koniec. Właśnie zaczęło buczyć, kiedy dostałem krążek, minąłem obrońców i strzeliłem gola. Uradowany jadę do chłopaków, bo remis dawał nam awans, a oni do mnie z pretensjami, że strzeliłem za późno, że sędzia nie uznał bramki, gdyż jakoby było już po czasie, co było nieprawdą. Skubany, tak nas załatwił.

Załamani poszliśmy do szatni, gdzie przybiegli do nas Szwajcarzy, mówiąc, że dla nich to my jesteśmy zwycięzcami. Kiepskie to było pocieszenie. Pomyślałem nawet, że jeżeli na takim sędziowaniu ma polegać owe szybciej, dalej, wyżej, to ja się na to nie piszę. Przyszedł także kierownik ekipy, płk. Głabisz ze słowami pocieszenia, że założą protest, bo to rzeczywiście draństwo. Co tam po proteście, skoro rozpatrywać miał go ten sam drań, co nam sędziował.

Na otarcie łez Polacy wygrali turniej pocieszenia, w którym oprócz nich startowały zespoły Węgier, Łotwy i Holandii.

Głową na bandę

Start polskich hokeistów na igrzyskach olimpijskich 1948

hokeistów

zainteresowaniem gorzowian.

roku w Saint Moritz z góry skazany był na niepowodzenie. Po wojennych zawieruchach sport dopiero się odradzał. Hokeiści nie mieli gdzie trenować. Jedyne sztuczne lodowisko w Katowicach było zrujnowane i czekało na remont. Naszym hokeistom brakowało więc obycia z lodem i krążkiem. Na dodatek nie potrafili grać według zmienionych zasad, które już powszechnie obowiązywały.

W tej sytuacji konfrontacja z drużynami Szwecji, Kanady i Czechosłowacji, które praktycznie przez całą wojnę nie schodziły z lodu, nie mogła wypaść korzystnie...

- Szwedzi robili z nami co chcieli. Czuliśmy się zagubieni, otumanieni, a oni urządzili sobie ostre strzelanie. Przy stanie 12 lub 13 do zera, w połowie trzeciej tercji, nastąpiła zmiana stron. W ferworze walki nie zauważył tego Wróbel i huknął do... własnej bramki. Uradowany podniósł kij do góry i krzyczy: siedemnastka! siedemnastka! Dopiero bramkarz Szlendak zgasił jego radość mówiąc: no i czego się cieszysz baranie, że mi strzeliłeś gola?! Nikt jednak do niego nie miał specjalnych pretensji, bo wszyscy byliśmy skolowani.

W 1949 roku reprezentacja Polski udała się po raz pierwszy do Związku Radzieckiego na kilka oficjalnych i towarzyskich spotkań. Wśród reprezentantów był również Andrzej Wołkowski.

- Najpierw odbywaliśmy wspólne treningi z klubowymi zespołami Moskwy, z Krylią Sowieców, CSKA i Lokomotiwem. Oficjalny mecz między państwowymi rozegraliśmy na Łuznikach. Nie było jeszcze tej pięknej hali widowiskowo-sportowej, graliśmy na stadionie piłkarskim odpowiednio przygotowanym. W drużynie Związku Radzieckiego występował legendarny Wsiewołod Bobrow, późniejszy trener wielokrotnych mistrzów świata. On właśnie przypadkowo zaczępił mnie łyżwą, na skutek czego poleciałem głową na bandę. A wtedy grało się bez kasków ochronnych. Wyrzuciłem więc głowę w bandę, odbiłem się i upadłem na plecy. Lekarze stwierdzili wstrząs mózgu i pęknięcie czołowego. 25 dni spędziłem w moskiewskim szpitalu. Na tym zakończyłem swój udział w tournée po Związku Radzieckim.

Po powrocie do kraju lekarz kategorycznie zabronił mi grać, kazał unikać wszelkich wstrząsów. Ale powiedz to wariatowi! Mieszkalem w Zakopanem i ledwo się pokazał pierwszy śnieg, wziąłem narty pod pachy i poszedłem w góry. Z początku zjeżdżałem ostrożnie, ale w końcu puściłem się na pełen gaz. W pewnym momencie postawiło mnie w poprzek, wywinąłem kilka koziołków i wyładowałem na śnieżnej zaspie. Wstałem nieco oszołomiony, ze zdziwieniem stwierdziłem, że widzę normalnie - to nie jest ze mną aż tak źle, pomyślałem, i wróciłem na lód, do hokeja.

Trenerska odyseja

A. Wołkowski wiedział dobrze, że zbliża się kres jego zawodniczej kariery, choć starał się ją maksymalnie przedłużyć. W 1950 roku zapisał się na kurs instruktorów hokeja na lodzie organizowany przez PZHL. Ukończył ten kurs z drugą lokatą na egzaminach końcowych. Rozpoczął nowy etap w swym sportowym życiu, ale okres przejściowy był łagodny - długo jeszcze grał w drużynach, które prowadził jako trener.

Swoją trenerską odyseję rozpoczął w Gwardii Zakopane. Następnie pracował w nowotarskim Podhalu, które wprowadził do II ligi. W decydującym o awansie meczu z ŁKS-em Łódź sam zdobył zwycięską bramkę. W Nowym Targu przebywał od 1953 do 1956 roku. Kolejne dwa lata spędził jako grający trener w Piaście Cieszyń, skąd odszedł po otrzymaniu z PZHL propozycji pracy za granicą.

Przez pięć lat, do 1963 roku pracował w Jugosławii, gdzie przede wszystkim szkolił hokeistów mistrza tego kraju, HDC Jesenice. Ponadto zajmował się kadrą narodową. Odnosił tam wiele sukcesów, zyskał mnóstwo pochlebnych recenzji. Przyczynił się do uruchomienia przez przemysł jugosłowiański produkcji sprzętu hokejowego.

Po powrocie do Polski trenował drużynę GKS Katowice, którą doprowadził do tytułu mistrzowskiego w 1965 roku. W tym samym sezonie uległ prośbom działaczy Odry i przeniósł się do Opola. Wprowadził opolską Odrę do drugiej ligi i w 1969 roku zameldował się

w Tychach, aby uratować miejscowy zespół przed degradacją. Po drodze była jeszcze Stal Sanok, Dolmel Wrocław i w 1974 roku zjawił się w Gorzowie.

Andrzej Wołkowski wspólnie z kilkoma innymi szkoleniowcami i działaczami włożył wiele serca i wysiłku w rozwój gorzowskiego hokeja, który był nawet bliski awansu do pierwszej ligi. Niestety, ten ogromny wysiłek poszedł na marne, został zaprzepaszczony. 23 czerwca 1982 roku zarząd ZKS Stilon z bólem podjął decyzję „o zawieszeniu działalności pierwszej drużyny hokeja na lodzie” ze względu na zły stan urządzeń pracujących na potrzeby lodowiska, wymagającego zresztą generalnego remontu. Działalność sekcji miała być w ograniczonym zakresie prowadzona. Z czasem działalność sekcji także została zawieszona. A. Wołkowski wyjechał z Gorzowa.

- Wiem z własnego doświadczenia, że jeżeli raz się coś zlikwiduje, to trzeba później długich lat pracy, aby osiągnąć dawny poziom. Nasza drużyna była najstarsza w drugiej lidze, średnia wieku wynosiła 25 lat i jeżeli będziemy czekać kilka lat, to z tych zawodników nie będzie już pożytku, a młodzieży w tych warunkach się nie wyszkoli, i przyjdzie zaczynać wszystko od początku - rzekł na pożegnanie olimpijczyk starej daty, który był ostatnim co hokeistów Stilonu wodził.

■■■

Andrzej Wołkowski zmarł w 1995 roku. Zapomniany, jak gorzowski hokej.

Trudno jednoznacznie ustalić, ile razy A. Wołkowski brał udział w mistrzostwach świata. „Encyklopedia Sportu” (wydanie I) podaje, że był on trzykrotnym uczestnikiem MŚ (1933, 1939, 1947). On sam utrzymywał, że w światowych mistrzostwach startował pięciokrotnie (dodatkowo jeszcze w 1935 i 1937). Podobny kłopot jest z uczestnictwem w olimpiadach. Pamięć ludzka jest zawodna, ale „Encyklopedia Sportu” również nie jest w pełni wiarygodnym źródłem, gdyż zawiera liczne błędy i nieścisłości. Może i w tym przypadku? Zresztą, dla gorzowskiego hokeja nie ma to już większego znaczenia.

JAN DELIJEWSKI

„Przygody ze sportem”,
Agencja DEJAMIR, 1995

Stalowe okno na świat w Niederfinow

Miejsce zapierające dech w piersiach miłośnikom techniki, jednocześnie doskonale znane wodniakom, leży około 30 km od przeprawy promowej w Gozdowicach i około 100 km od Gorzowa.



Fot. Ryszard Romanowski

Podnośnia statków w Niederfinow to doskonale działający zabytek techniki

Warto tam się wybrać, bo i droga wzdłuż lewego brzegu Odry jest niezwykle malownicza. Wzniesienia na niemieckim brzegu pradoliny są wyższe niż po naszej stronie. Gdy wyjedziemy już z płaskich terenów zalewowych, poczuć się jak w górach. Urządzenia nawigacyjne chwilami pokazują wysokość około 100 m n.p.m. Turyści, którzy nie przepadają za podjazdami i zjazdami, mogą wybrać wygodną autostradę. Już wiele kilometrów od celu podróży widać wśród zielonych wzgórz ogromną stalową konstrukcję w Niederfinow. Po zjeździe ze wzgórz niemal górką pokonujemy zwodzony most. W przeciwnieństwie do wielu podobnych konstrukcji, urządzenie działa i przy odrobinie szczęścia lub pecha trafimy na korek i do woli będziemy mogli kontemplować odrzańską konstrukcję. Jeszcze kilka kilometrów i trafimy na wygodny parking przy gigantycznej stalowej konstrukcji. Na turystów czeka kawiarnia, stragany z jedzeniem i pawilon, w którym można kupić bilet za 1 euro i zaopatrzyć się w przewodnik. Nie trzeba znać niemieckiego, bo wszystkie informacje przetłumaczono również na język polski. Wszystkie ceny skalkulowano również na naszą kieszeń.

Podnośnia statków w Niederfinow to doskonale działający zabytek techniki i jeden z największych tego typu obiektów w Europie. Przeciąć dział wodny Odry i łąby próbowano co najmniej od XIII wieku. Powstawały kanały z wielką liczbą śluz. Otwarcie drogi wodnej z Za-



Fot. Ryszard Romanowski

Ogromną konstrukcję widać z bardzo daleka

chodu do Szczecina i Wrocławia przez wieki spędzało sen z powiek konstruktorom i władcom. Kanały ze śluzami działały, ale miały zbyt małą przepustowość. U schyłku XIX wieku wymyślono podnośnię. Jednakże z budowy zrezygnowano ze względu na ówczesny stan techniki. W roku 1905 cesarz Wilhelm II zarządził budowę kanału między Hawelą i Odrą. Kanał oddano do użytku w roku 1914 i statki o tonażu do 600 t, pokonując zaledwie pięć śluz, mogły dopłynąć do Odry. Punktem newralgicznym ciągle była różnica wysokości około 40 m pomiędzy górną częścią kanału a nadodrzańskimi bagnami. Dopiero w latach 1924-1926 sporządzono odpowiedni projekt z wykorzystaniem bocznikowych silników elektrycznych prądu stałego. Podnośnię oddano do użytku 21 marca 1934 roku. Był to wówczas największy obiekt w obrębie niemieckiej sieci śródlądowych dróg żeglownych. W ogromnym, wysokim na 59,1 m stalowym rusztowaniu porusza się coś w rodzaju gigantycznej wanny. Może się w niej zmieścić

statek o wyporności 1000 t i zanurzeniu do 2,5 m. Warto przypomnieć, że na nieuregulowanej Warcie wiele problemów ma nasza Kuna o zanurzeniu zaledwie 1,4 m.

Szerokość wanny w Niederfinow wynosi 12 m, długość 85, a fundamenty konstrukcji sięgają 20 m w głąb ziemi. Obserwując nieustanną pracę podnośni, można tylko pozazdrościć Europie Zachodniej dróg wodnych. Obok barek i jednostek turystycznych z Polski i Niemiec możemy napotkać jednostki brytyjskie, szwajcarskie, francuskie itp. Chciałoby się pooglądać chociaż fragment takiego ruchu z gorzowskiego bulwaru. Okazuje się jednak, że przepustowość starej podnośni jest ciągle zbyt mała i nieopodal powstaje niemal bliźniacza konstrukcja.

Gdy po zwiedzeniu podnośni zostanie nam jeszcze trochę czasu, warto odwiedzić zoo w pobliskim Eberswalde. Wiele zwierząt nie przebywa w klatkach i mile widziani są goście z psami, co w Polsce jest zupełnie nie spotykane.

RYSZARD ROMANOWSKI

...POD ROZWAGĘ •



Co zastał prezydent Wójcicki?

Mamy w Gorzowie nową sytuację, odmłodzoną Radę Miasta i nowego prezydenta. Społeczeństwo obdarzyło zaufaniem prezydenta z poza starego układu, jakby mówiąc poprzednikom: wam już dziękujemy. Warto się zastanowić, co zastał nowy prezydent, jaką sytuację gospodarczą, jaki stan źródeł dochodów i jak rozdmuchane koszty utrzymania miasta. Na pewno bilans otwarcia jest potrzebny.

Widzimy, że zastał miasto bez kluczowych gałęzi przemysłu, bez tych gorzowskich niegdyś sztabowych zakładów. Miasto upadających księgarni, pustych lokali handlowych, miasto ciucholandów i kilkuset sklepów z alkoholem, agencji towarzyskich i dilerów narkotyków, wzrastającej liczby bezdomnych i zadłużonych lokatorów miejskich i spółdzielczych mieszkańców.

W poprzednich latach za wszelką cenę sprzedawano wszystko, sprostowano kapitał zagraniczny nie bacząc czy jest on ważny dla rozwoju miasta, jakie korzyści daje w krótkim czasie i czy wywoła efekt rozwoju w dłuższym okresie. Widzimy, że znaczącego impulsu rozwojowego to nie dało. Po wpompowaniu w miasto kilkaset milionów z funduszy UE gospodarka nawet nie drgnęła. Patrzymy na to wszystko, analizujemy wydatki na stadiony, pola golfowe za miliony, Dominantę, ścieżki rowerowe, obiekty kultury, jak choćby filharmonię, na której koncerty ludzi po prostu nie stać. Jest kilka trafionych inwestycji, np. infrastruktura wodno-kanalizacyjna, obwodnice drogowe, bulwar zachodni, ale one nie ruszyły koła zamachowego gospodarki.

Patrząc na to wszystko nie chce się wierzyć, że nie ma gorzowskiego przemysłu - Silwany, Ursusa, Gozamet, Zakładów Stalarki Budowlanej, Fabryki Domów, dużych przedsiębiorstw handlowych WPHW i Społem. Na to miejsce nic nowoczesnego i równoważącego nie powstało. Zniszczono społeczny dorobek wielu pokoleń.

W tym czasie kilka tysięcy, przeważnie młodych i wykształconych, z Gorzowa wyjechało na zachód. Lekarzy, inżynierów ślusarzy i budowlanców już brakuje. Czy w Gorzowie mamy jeszcze jakiś przemysł, który nakręca koniunkturę rozwojową, daje dobrze płatne miejsca pracy i tworzy trwałe fundamenty kooperacyjne z małymi i średnimi przedsiębiorstwami? Próba diagnozy gospodarczej.

Kapitał, który w ostatnich dwóch dekadach często trafiał do Gorzowa miał charakter wypierający. Inwestor zagraniczny wiedział, że po wejściu do miasta wyprze z rynku miejscowe firmy nieprzystosowane do tzw. konkurencji globalnej. Inwestorzy wypierający wcale nie poprawili lokalnego stanu gospodarki, bo zajęli przestrzeń już istniejących firm, które często nawet nieźle funkcjonowały. Ten kapitał w Gorzowie zlokalizował filie, tzw. córki swych matczynych przedsiębiorstw mających sie-

dziżyć za zachodnią granicą. Układ córka – matka jest po to, by wygenerowane zyski przekazać do central-matek.

Kapitał wypierający lokalizował się w bliskim sąsiedztwie lokalnych i często bardzo dobrych przedsiębiorstw z myślą zastosowania agresywnych metod konkurencji. Firmy lokalne z braku środków finansowych na reklamę i możliwości obniżki kosztów nie potrafiły sprostać konkurencji. Ten międzynarodowy kapitał chcąc wyprzeć z rynku firmy lokalne stosował różne chwyt marketingowe i finansowe. Lokalne firmy szybko się zwiły. Hegemon po przejściu rynku działał jak klasyczny monopolista uwolniony od tubylczych firm.

Innym kapitałem, który trafił do Gorzowa to kapitał tzw. goszczący. On siedzi na walizkach, jak je napelni to przenosi się dalej, gdzie jest jeszcze tańsza siła robocza i przyzwolenie na wykorzystywanie niewolniczej pracy. Widzimy, że po niektórych firmach już nie ma śladu, albo pozostały resztki z przeprowadzki. Pozytywny efekt tego kapitału goszczącego jest na krótko. Pieniądże zarobili i przenieśli się dalej.

Tak wyglądał mechanizm likwidacji naszych przedsiębiorstw.

Inwestorzy przejmujący, wypierający czy goszczący zwykle reprezentują liberalny model gospodarczy oparty na zależności między silnym centrum zarządzania w kraju pochodzenia a podległą jej firmą córką. Filie nie wywołują znaczącego rozwojowego efektu kooperacji. Większość tego co potrzebują do produkcji dostarcza im centrum logistyczne z kraju pochodzenia. One najczęściej kompletują, składają, pakują, a nie produkują. Układ typu córka – matka wytwarza zależny model przepływu zysków w kierunku do centrali. Stąd np. Niemcy mają dzisiaj nadpłynność finansową i nadwyżkę budżetową. Nam natomiast pozostają długi m.in. spowodowane odpływem pieniędzy za granicę. Te firmy w małym stopniu zasilają dochody budżetowe. Tego typu filie koncernów zagranicznych nie potrzebują wielu ludzi wykształconych. Największe zapotrzebowanie mają na pracowników przy taśmie montażowej. Ten model gospodarki nie prowadzi do dobrobytu i do zmniejszenia biedy. Bezrobocie w Gorzowie spadło tylko dlatego, że kilka tysięcy ludzi wyjechało na zachód do pracy. Jak potwierdzają sondaże, kolejnych kilka tysięcy szykuje się do wyjazdu. Do tego trzeba dodać jeszcze nietrafione i bardzo drogie inwestycje miejskie obciążające dochody budżetu i generujące trudne do opanowania koszty ich eksploatacji.

Co w tej sytuacji i w pierwszej kolejności robi prezydent miasta. Czy ma jakieś pole manewru? Zastał bardzo trudną sytuację.

Czy będziemy miastem peryferyjnym?

Tylko jeden rodzaj inwestorów działa rozwojowo na miejscowe otoczenie biznesowe – to ten o trwałym charakterze. Buduje trwałe obiekty i wywołuje efekt kooperacji z lokalnymi zakładami. Ma biura badawcze i sekcje wdrażania nowych technologii, zatem tworzy zapotrzebowanie na ludzi wysoko wykształconych, którym dobrze płaci. To z kolei prowadzi do zwiększenia zapotrzebowania na rozwój nauki, tworzenie nowych kierunków studiów i odtwarzania się klasy średniej. W Gorzowie, jak dotąd, takie firmy na palcach jednej ręki policzyć można.

Gorzów nabiera cech gospodarki peryferyjnej, skąd daleko do centrów gospodarczych (np. Berlin, Poznań, a niebawem Zielona Góra), jest tu tania siła robocza i otwarty rynek zbytu dla globalnych koncernów. Peryferyjność gospodarcza Gorzowa prowadzi do tego, że miejscowe przedsiębiorstwa zamieniają się w firmy o charakterze niszowym. Aby ratować siebie i swoich pracowników, szukają miejsc, w których jeszcze można coś zarobić. Prędzej czy później zostaną wyparte przez międzynarodowe firmy, które jako monopolisci także sięgną po te niszę. Ten napływowy kapitał nie stał się czynnikiem aktywizacji gospodarczej na poziomie społecznych oczekiwań. Można dziś bez ryzyka powiedzieć, że na dłuższą metę niewiele daje i utrwała stan neokolonialnego wyzysku naszej taniej siły roboczej.

Z tym zmierzy się prezydent miasta.

Czy można to wszystko jeszcze naprawić?

Wielka sieć zbytu kooperuje głównie z wielkimi producentami i dostawcami. Średnie i małe firmy produkcyjne po prostu płać, bo nie ma dla nich zbytu w małych i upadających sklepach i hurtowniach. Handel jest pierwszym i niezbędnym ogniwem sprawnego łańcucha gospodarczego. Drugim są lokalne polskie banki. Dopiero kolejnymi ogniwami, będącymi funkcją tych pierwszych, są zakłady produkcyjne i ośrodki badawcze pracujące dla przemysłu. Całość jest łańcuchem ogniw ze sobą ściśle powiązanych dających zdrowy system narodowej gospodarki. Tak mają Niemcy, Japonia, Korea, USA, Chiny. Na tą drogę próbują wejść Węgry i Chorwacja, a naprawić swój zepsuty system próbuje Grecja i Hiszpania. Mamy skąd brać przykład. Przemodelowanie polskiej gospodarki jest konieczne, w tym Gorzowa. Do galopu trzeba wziąć parlamentarzystów. Niech nie gadają o dyrdymalach, a zajmą się zagadnieniami determinującymi nasz rozwój gospodarczy.

Prezydentowi naszego miasta nic innego nie pozostaje, jak pomagać naszym handlowcom, naszym rodzimym firmom, a szczególnie budowlanym. Martwi zapewne prezydenta, że gorzowskie targowiska są marne, giełdy niewykorzystane, centrum Gorzowa umiera, zespół straganowy nad Wartą powoli zamiera. Bez handlu lokalnego nie ma rozwoju produkcji. Należy wszelkimi metodami ratować i wspomagać mały i średni gorzowski handel oraz ten nazywany eksportem, który w innych krajach jest podstawą dobrobytu miast i narodów.

Cieszy, kiedy słyszymy, że prezydent naszego Gorzowa znalazł metodę na obniżenie kosztów niektórych inwestycji prawie o połowę, że uruchamia oszczędności związane z kosztami wynajmu biur administracji miejskiej i nie kończy na tym poszukiwań ograniczania kosztów funkcjonowania miasta. Koszty funkcjonowania miasta ograniczyć trzeba, bo nie będzie środków na zahamowanie dekapitalizacji miejskiego majątku, o rozwoju nie wspominając. W tym wszystkim należy prezydenta wspierać. Rozpoczął dobrze, bo od oszczędzania, a nie od obiecywania. To budzi naszą nadzieję.

AUGUSTYN WIERNICKI

...PO PROSTU LUBUSKIE •



Wszyscy jesteście Romami

Są momenty, kiedy nie należy milczeć. Zdumiewa mnie próba sprowadzenia pobicia Edwarda Dębickiego do kolejnego lubuskiego „jeden na jeden” wybuchu. Banalizacja, lekceważenie, zła to nie jest dobra droga. „Bij cygana !”, a może „Bij żółtkę”, „Bij, bo biały, czarny, skośnooki, mądrzejszy, a może inny!”. Może powinienem powiedzieć:

wszyscy jesteście Romami, gdy bije się gorzowianina romskiego pochodzenia.

Panie Edwardzie. Przepraszam Pana za tych, którzy pobili, za tych, którzy nie reagowali, za tych, którzy winni byli od razu podjąć postępowanie, a tego nie zrobili.

Jest Pan żyjącą historią Gorzowa. Rom, honorowy obywatel miasta, twórca kultury, który od wielu lat kolejnym pokoleniom, nie tylko Polakom przybliża czar i piękno „muzyki taborów”. Osobą znaną i szanowaną. Bez Pana artyzmu, miłości do Gorzowa nie byłoby tym miastem i tym województwem, jakim jesteśmy.

Przed ubiegłorocznym festiwalem Romane Dywesa spotkałem się z prezesem Polskiego Związku Romów Romanem Kwiatkowskim. Okazał się bardzo interesującym rozmówcą. Opowiadał o realizowanych w Europie programach integracyjnych i oświatowych i wspominał również o niepokojących zjawiskach wzrostu agresji i stygmatyzacji Romów. Przekonywałem go wówczas, że lubuskie z uwagi na swoją historię, to miejsce spotkania wielu kultur. Tolerancyjne i przyjazne dla Romów. Zapewniałem, że znam tylko pozytywne relacje z miejscowości, w których zamieszkują Romowie. Ubiegłoroczny festiwal miał szczególny wymiar artystyczny i wyjątkową oprawę. Długie wieczorne improwizowane koncerty, bezpośrednia relacja TV, entuzjastycznie reagująca widownia. To wszystko sprawiło, że mogłem mówić o regionie jako o miejscu tolerancyjnym i przyjaznym. A jednak dzisiaj muszę powiedzieć: przepraszam. Nie ulega wątpliwości, że dla napastników jedną z przesłanek agresji było romskie pochodzenie Pana Edwarda. Może więc pobijmy kolejnych, bo kibicują nie tym drużynom, bo inaczej myślą, bo... Są momenty, w których nie wolno milczeć.

JERZY OSTROUCH

...OSTATNI PRZY STOLIKU NR 1



Żegnamy ks. Witolda

Smutny dzień. Żegnamy ks. Witolda. Przysiadł się przed laty ks. Witek do „stolika nr 1”, gdy tylko zastał tę kłótniową gromadkę w MPIK-u. Zwykle po książkę wpa-

dał. Książek kupował przecież dużo. Miał „chody” w księgarniach gorzowskich. Bez „znajomości” trudno było książkę kupić. No i przysiadł się. Do Mietka Rzeszowskiego, do Zdzisława Morawskiego. Do całej reszty. To tam poznałem go i dzięki starym „komuchom” zaprzyjaźniłem się z księdzem Witkiem. Tak go wszyscy w MPIK-u nazywali. A znali się przecież jeszcze z teatru, gdzie po premierach w bufecie, przy kieliszeczku dyskusję prowadzili. Nigdy zbyt dużo czasu dla nas nie miał, ale zawsze chociaż tyle, żeby ze Zdzisławem się „powadzić”, z nami się „pospierać” i na odchodnym „zagrozić”, że nas i tak nawróci na drogę chrześcijańskiej cnoty. Szczególnie uparł się na Zdzisława i Mietka. Michała Puklicza nie musiał nawracać, Andrzej Gordon miał własne układy ze Stwórcą. Gdy na krótko przed śmiercią Mietka zadzwonił do Witka z prośbą, „czy by do Mietka nie mógł wpaść porozmawiać, bo to już chyba koniec”, usłyszałem – „zaraz będę”. Nie wiem, o czym rozmawiali. A gdy się z niewczesnej ciekawości namolnie dopytywałem, groził mi najgorszymi mękami piekielnymi i osobistym kontaktem z jego nogą. Gdy się następnym razem spotkamy, to już nie będę musiał się pytać. Wszystko będzie jasne.

PIOTR STEBLIN KAMIŃSKI

...MOJE IRYTACJE I FASCYNACJE •



Pozbawili się atrakcji turystycznej

Jedna z okolicznych wiosek dość długo miała nietypową i mocno niepoprawną w sensie dziś atrakcję turystyczną. Mam na myśli Rudnicę, może nie tuż za oplotkami miasta na siedmiu wzgórzach, ale jednak niezbyt daleko. Mała wieś na Błotach Warciańskich, z całkiem pokątną historią, miała obecnie jedną ciekawą atrakcję turystyczną. Po przełomie demokratycznym w 1989 roku i po generalnych porządkach nazewniczych w całym kraju, w tej jednej, jedynej wioseczce zachowała się ulica ni mniej, ni więcej, imienia prezydenta Bolesława Bieruta. Przez cały ten czas nikt z mieszkańców jakoś nie występował z płomiennymi protestami, aby „skompromitowanego bohatera” zastąpić słuszniejszą, bardziej na czasie nazwą. Jakoś im to nie przeszkadzało.

A za ostatnie lata właśnie za sprawą tej ulicy do Rudnicy zajeżdżali turyści, robili sobie zdjęcia, komentowali i co dziwne, nie były to złe komentarze, w typie – jaki ciemnogród, komunistę sobie we wsi zostawili. Nie, raczej takie, no proszę, wzorem Niemiec, nie chcą zmieniać stanu rzeczywistego. Bo to jednak historia i jaka by ona nie była, trzeba ją brać z całym dobrodziejstwem, ale i złem inwentarza. A skąd to wiem? Ano z prostej sprawy. Samą jako przewodniczką po tych terenach zawiozłam tam kilka wycieczek. No i za każdym razem było zaskoczenie, ale i chwilka na fotografie, bo nie tylko wskaźnik z nazwą ulicy w Rudnicy był. Bo tam jest też całkiem spore graffiti z nazwą. Teraz trzeba będzie zamalować, bo skoro nazwy ulicy już nie ma...

RENATA OCHWAT

...NADZIEJA DLA GORZOWA •

Ostatni żart
Leszka
Millera

Sluchając, a też oglądając, wystąpienie p. Ogórek miałem dwa nieodparte odczucia.

Pierwsze, niesamowitej śmieszności sytuacji. Otóż na najważniejszy urząd w państwie, polska "lewica", cudzysłów nie bez kozery, wystawia kandydatkę kompletnie nieznana, niedoświadczoną, ale za to młodą i ładną, bo to wystarczy. Wybierani na ten urząd w naszym kraju byli Piłsudski /wybrany godności- nie przyjął/, Narutowicz, Wojciechowski, Mościcki, Bierut, Jaruzelski, Wałęsa, Kwaśniewski, Kaczyński. Ludzie już w momencie wyboru o olbrzymim doświadczeniu politycznym, o wielkich zasługach dla kraju, z zastrzeżeniem Bieruta i Jaruzelskiego- u których zasług nie dostrzegam/, pełniący szereg najwyższych stanowisk w państwie. Ludzie, którzy już za życia mieli bądź mają swoje miejsce w historii, nie tylko Polski. A tutaj taka propozycja. Żenujące wystąpienie, wygłoszone histerycznym tonem, pełne sztucznych gestów, z kabaretowym zdaniem o telefonie do Putina. Jestem przekonany, że to największy cynik polskiej polityki, widząc nieuchronny schyłek swojej partii, nie for-

macji - bo mam nadzieję że lewica się odrodzi, postanowił zakpić ze swoich towarzyszy. Bez porozumienia z partią wystawił p. Ogórek, mówiąc tym samym wszystkim towarzyszom: "a co mi zrobicie, ja i tak zrobię jak zechcę", podobnie jak szatniarz z "Misia" Bareji - "nie mam pańskiego płaszcza i co pan mi zrobisz?". Ale żart ze swoich towarzyszy partyjnych to nic wobec kawału, jaki Miller tym samym zrobił wszystkim wyborcom SLD. Jak oni się czują? Kompletnie zlekceważeni, wręcz obrażeni.

I drugie odczucie, żalu. Nawet nie nad kandydatką. Jest ona mądrą wykształconą kobietą, wiedziała co robi, sama jest sobie winna, ale żalu nad polską lewicą. Czyli nad czymś, czego w naszym kraju nie ma. Jest nie do pojęcia, że w dużym, cywilizowanym, demokratycznym kraju, w środku Europy, nie ma prawdziwej lewicy, prawdziwej socjaldemokracji. Że ludzie lewicy, są zmuszeni głosować na cynicznych postkomunistów, lub kilka kanap mieniących się lewicą. Żalu nad wieloma wartościowymi, ideowymi, ludźmi z SLD, jak choćby z gorzowskiej Rady Miasta, których poznałem, uczestnicząc parę lat temu, w koalicji "Lewica i Demokraci".

Przy takim liderze, przy takim kandydacie, idą na zatracenie polityczne. A szkoda. Sądzę że po takim numerze jaki im wyciął tow. Miller nawet oni nie zagłosują na panią O.

JERZY WIERCHOWICZ

...Z MIŁOŚCI DO MIASTA •

Pieniądze
na sport

Ostatnie, pełne ekspresji dyskusje dotyczące podziału miejskich pieniędzy przeznaczonych na gorzowski sport, a na sport młodzieżowy w

szczególności, skłaniają do refleksji. Tak jak jest obecnie, dalej po prostu być nie może. A jak ma być? To bardziej proste niż się wydaje. Tężyzna fizyczna młodzieży osiągnięta przez uprawianie sportu – rozumianego jako połączenie wysiłku fizycznego z rywalizacją z przeciwnikiem to zadanie dla rodziców, szkół, ale w szczególności dla władz miasta. Organizowanie sportu młodzieżowego to budowa obiektów sportowych oraz finansowe wspomaganie klubów sportowych. To jedno z najważniejszych zadań miasta, na które pieniądze nigdy nie powinno zabraknąć. Wbrew pozorom sprawiedliwy podział miejskich środków jest i możliwy i prosty. Nie ma też potrzeby powoływania kolejnego gremium składającego się z kilkunastu osób, które to gremium jedynie spotęguje dzisiejsze kłótnie i niczego nie załatwi. Odpowiedzialność za podział środków musi wziąć na siebie jeden człowiek, najlepiej, aby był to kompetentny szef wydziału sportu. Bo kto, jak kto – jeśli on nie będzie się znał na sporcie, to i wieloosobowe grono, nawet zanych działaczy nie da sobie rady, bo kolderka krótka, a każdy będzie ciągnął w swoją stronę.

Kryteria podziału powinny być tylko dwa. Pierwsze – w podziale winny uczestniczyć tylko te kluby, które szkolą młodych ludzi w sporcie związanym z wysiłkiem fizycznym. To powinno wyeliminować kluby szachowe, warcabowe, brydżowe, organizujące rozgrywki darta, cymbergaja, rzucanie kulkami i inne temu podobne, które dzisiaj pochłaniają lwia część budżetu. Im też z pewnością coś się należy, ale na liłość boską – z puli na rozrywkę, a nie na sport. Nie może być bowiem tak, że szachista otrzymuje z kasy miasta 3,5 tys. zł. na rok, a młody piłkarz „Stilonu” 350 zł, czyli dziesięć razy mniej.

Drugim kryterium winna być liczba rzeczywiście szkolonych młodych sportowców, ze szczególnym uwzględnieniem zawodników wybitnie utalentowanych, którzy winni otrzymywać pomoc indywidualną w postaci solidnego stypendium. Dzisiaj bowiem jest tak, że najbardziej utalentowany pingpongista młodego pokolenia w Europie, a za chwilę pewno i na świecie – dwunastoletni Samuel Kulczycki zdany jest na symboliczną pomoc z klubu, a tak naprawdę na pomoc ojca Szymona i dziadka Ryszarda. Taki chłopak może być w przyszłości dumą Gorzowa, ale trzeba mu pomocy realnej.

Mając na uwadze to drugie kryterium – największą pomoc winni uzyskać piłkarze nożni, koszykarki, pływacy, wioślarze, kajakarze, piłkarze wodni, tenisiści stołowi, bokserzy, piłkarze ręczni, siatkarze, a następnie inni. Nieudolność urzędników wydziału sportu, widoczna zresztą gołym okiem od lat – prowadzi też do jeszcze innego smutnego wniosku – wąż zaczyna zjadać swój własny ogon, co należy rozumieć jako pochłanianie przez urzędników pieniędzy z budżetu na swoje własne funkcjonowanie, co akurat w zakresie sportu jest zupełnie zbędne.

Inną kwestią jest podział pieniędzy na sport wyczynowy. Tu najpierw jest potrzebna dyskusja – czy zadaniem miasta poza utrzymaniem obiektów sportowych i lożeniem na sport młodzieżowy winno być utrzymywanie również zawodowców, zarabiający czasem po kilka tysięcy miesięcznie, ale też i po milion i więcej rocznie. To jest jednak temat na osobne rozważanie, choć trzeba to też zrobić natychmiast, bo problem stoi tuż za drzwiami i sam nie zniknie. Obecny regulamin obowiązujący radę miasta teoretycznie jest klarowny: kasę mają otrzymać żużlowcy, koszykarki i piłkarze nożni poczynając od III ligi. Ale sprawa jest tu bardziej skomplikowana niż w sporcie młodzieżowym. Bo beneficjentem zdecydowanej większości środków liczonych w miliony i przekazywanych w różny, często zakamuflowany sposób jest tylko jeden klub i to przede wszystkim trzeba wyjaśnić i uporządkować raz na zawsze.

JERZY SYNOWIEC

Blogi na echogorzowa.pl

Na portalu echogorzowa.pl swoje blogi prowadzi wielu znanych gorzowian. Oprócz tych zaprezentowanych tutaj pisze także wielu innych. Oczywiście pisać może każdy, kto tylko ma coś do powiedzenia, przekazania innym. Zainteresowanych prowadzeniem bloga na naszym portalu prosimy o kontakt z redakcją, po wcześniejszym zapoznaniu się z regulaminem portalu.

REDAKCJA

r e k l a m a

Hurt - Detal Art. Elektryczne



- kable, przewody, gniazda, wyłączniki, oprawy, żarówki ledowe, energooszczędne, świetlówki
- usługi elektroinstalacyjne
- pomiary elektryczne - oświetleniowe
- alarmy, kamery
- prefabrykacja rozdzielni elektrycznych we własnym zakresie

os. Bermudy 92 Wawrów
www.elkab.com.pl
e-mail: elkab@elkab.info.pl

tel. zaopatrzenie 95 7 336 207 (209)
sprzedaż 95 7 336 203 (205)
fax 95 7 336 208

Kostrzyn n/O ul. Sucharskiego 19 tel./fax 95 7 525 909
tel. kom. 601 873 568



Nową Fabią po gorzowskich i okolicznych drogach

Zupełnie niedawno Skoda Fabia III generacji pojawiła się w sprzedaży. I od razu wzbudziła dużą ciekawość.

Mieliśmy okazję poznać ją bliżej testując na gorzowskich drogach. Dzięki uprzejmości firmy Auto - Bis spędziliśmy razem weekend. Już dojeżdżając do swojego garażu, czułem, że dobrze będzie się nam jeździć. Mam bowiem od lat opracowany system oceny zawieszek samochodowych, który dobrze się sprawdza. Zawdzięczam go po części włodarzom gorzowskich ulic. Jeżeli w nowym samochodzie na mojej pełnej dziur ulicy nie słychać pracy zawieszenia, to znaczy, że mamy do czynienia z komfortowym pojazdem, który sprawi nam wiele niemiłych niespodzianek w szybkich seriach zakrętów na szutrze i śniegu. Jeżeli zaś coś słychać, to będzie przyjemność z jazdy. Zdając sobie sprawę, że w projektowaniu nowej Fabii aktywnie uczestniczył dział sportu Skoda Motorsport, liczyłem, że jednak będzie coś słychać i się nie zawiodłem. Czym prędzej wyruszyłem na wypróbowane już na pod gorzowskie drogi. Nie wszyscy wiedzą, że mamy w okolicy szutry nie gorsze niż w Finlandii. Dróżki te są pełne zjazdów i podjazdów, zakrętów o różnej konfiguracji, mostków, a nade



Testowa Fabia z silnikiem o poj. 1,2 l i mocy 110KM dynamiką zadowoli większość lubiących szybką jazdę kierowców.

wszystko ich nawierzchnia jest niemal idealnie równa. Nie ma możliwości uszkodzenia auta w dziurach lub koleinach. Co najwyżej można wyładować w ograniczającym nawierzchnię rowie. Nie napiszę, gdzie to jest, aby nie narażać się Lasom Państwowym.

Testowa Fabia z silnikiem o poj. 1,2 l i mocy 110KM dynamiką zadowoli większość lubiących szybką jazdę kierowców. Rozpędza się do 100

km/h w około 9 sek i 150 km/h osiąga bardzo szybko. Na licznikowe 200 km/h trzeba trochę poczekać, ale i tak krócej niż w wielu większych samochodach. Nie chcąc drażnić czytających ten tekst panów w mundurach, powiem tylko, że prędkości zbliżone do maksymalnych sprawdzaliśmy tam, gdzie przepisy to dopuszczają. Nie wiązało się to z wielkim poświęceniem finansowym, bo średnie zużycie

paliwa oscylowało wokół 6 l na 100 km.

Tak doskonale parametry ważący ponad 1200 kg samochód zawdzięcza nie tylko konfiguracji silnika, ale również doskonale zestopniowanej skrzyni biegów. Pierwsze dwa przełożenia są krótkie i trzeba uważać, aby przy szybkim starcie strzałka obrotomierza nie weszła na czerwone pole, co skończy się odcieciem paliwa. Jeżeli zmieniać

będziemy biegi przy obrotach maksymalnego momentu wynoszących 4800 obr/min, to ruszymy jak rakietą. Oczywiście, jeżeli zignorujemy sugestie wyświetlacza, który pilnuje, abyśmy jechali ekonomicznie i sugeruje, jaki bieg wrzucić. Auto doskonale trzyma się asfaltów, jest mało wrażliwe na silne boczne wiatry, a kierowca dobrze czuje to, co ma pod kołami. Na szutrze zawieszenie nie robi wrażenie sportowego. Trudno Fabię wyprowadzić z równowagi a elektroniczna blokada mechanizmu różnicowego powoduje, że szybkie zakręty przejeżdża jak po szynach, czasem tylko ostrzegając lekkim uślizgiem. Przypomniałem sobie pokazną liczbę samochodów testowych, którymi jeździłem w ostatnich latach i ustawiłem Fabię ex equo na pierwszym miejscu z autem na literę A.

Doszło do tego, że wjeżdżałem przednimi kołami w rozryte, oblodzone błoto, aby chociaż trochę „poboksować”, ale się nie udało. Doszedłem do wniosku, że to auto jest idealne dla leśnika. Na ogół ci mądrzy ludzie nie pchają się w miejsca ekstremalnie nieprzejezdne, bo zwykle wiedzą, jak je ominąć.

Fabia da sobie doskonale radę na leśnych drogach i godnie będzie reprezentować właściciela na parkingu pod teatrem lub filharmonią. Wygodnie zabierze też całą rodzinę nad morze lub w góry, bo Skoda jest pełna praktycznych rozwiązań naprawdę Simply Clever.

Skoncentrowałem się na opisie jazdy, bo w tej kategorii niewiele aut, nawet z grupy VW, sprosta nowej Skodzie. Tymczasem warte uwagi są zarówno elektroniczny system komunikacji, jak i wygodne fotele oraz przejrzysta stylizacja tablicy rozdzielczej. Fabia oferuje również ogromne możliwości indywidualizacji przy pomocy wyposażenia dodatkowego. Studiując katalog, zdziwiłem się, że można sobie zażyczyć również zawieszenie sportowe. Trudno sobie je wyobrazić, bo zawieszenie auta, z którym spędziliśmy weekend, było o wiele lepsze niż oferowane przez niektóre marki zawieszenia sportowe. W Fabii nie musimy wierzyć w zapewnienia konstruktorów, gdyż już po kilku kilometrach sami czujemy, że wyprowadzi nas z większości drogowych opresji.

RYSZARD ROMANOWSKI

Toyota najbardziej niezawodna marką

Które samochody są najmniej usterkowe, a które najbardziej? Chciał o tym wiedzieć nie tylko kierowcy.

Odpowiedź na to pytanie stara się dać raport TÜV 2015, powstały w oparciu o badania techniczne ponad 8,5 mln pojazdów w Niemczech przeprowadzone w okresie od lata 2013 roku do

lata 2014 roku. Masowość próby jest jednocześnie najlepszą gwarancją reprezentatywności tego badania, ale raport nie obejmuje np. awarii na drodze, ponieważ auto, które stanęło albo nie ru-

szyło, nie dojechało na badanie kontrolne...

Raportu usterkowości TÜV 2015 powstaje na podstawie wyników kontroli technicznej samochodów w Niemczech, przeprowadzanych przy

okazji okresowych badań technicznych. Co istotne, tamtejsze przeglądy rejestracyjne obejmują kilkakrotnie większy zakres weryfikacji niż nasze. Przejście takiego badania ma wpływ na cenę

samochodu używanego, bardzo dużą w przypadku starszych roczników.

Niemiecki TÜV (Technischer Überwachungsverein), a dokładniej łącznie kilka TÜV-ów działających u naszego zachodniego sąsiada, tworzy największą sieć placówek przeprowadzającą badania okresowe samochodów. Na podstawie ich wyników od lat 70. powstają raporty usterkowości. Według zestawienia TÜV 2015 Toyota jest marką najczęściej występującą w pierwszych dziesiątkach poszczególnych klas wiekowych - łącznie na czołowych pozycjach modele słynnej japońskiej marki znalazły się aż trzynastokrotnie. Szczególnie imponująca jest reprezentacja modeli największego producenta pojazdów na świecie w najstarszych grupach wiekowych, które są najlepszym wyznacznikiem jakości, trwałości i długo-

wieczności pojazdów. W pierwszej dziesiątce samochodów 10- i 11-letnich, Toyota ma aż cztery modele (RAV4, Avensis, Corolla i Yaris). Z kolei w pierwszej dziesiątce samochodów 8- i 9-letnich są aż trzy Toyoty: RAV4, Corolla i Avensis.

Instytut TÜV w raporcie na rok 2015 opublikował także listę najbardziej usterkowych modeli, na podstawie której powstał ranking najbardziej usterkowych marek. Auta tych marek wymagają znacznie częstszej opieki i kontroli niż pojazdy najbardziej niezawodne. O ile jednak Fiaty z Włoch tradycyjnie zajmują miejsca wśród najbardziej awaryjnych, to wytwarzane w Polsce modele tej (500, poprzednia Panda) są w ścisłej czołówce niezawodności, w okolicy a nawet przed autami japońskich marek.

Źródło:

BANKKIEROWCY.PL W RAPORTY

reklama

MOTO KORD
FIRMA MOTORYZACYJNA

SKLEP MOTORYZACYJNY

- części zamienne do wszystkich marek
- oleje, filtry
- akumulatory
- opony
- akcesoria

AUTO SERWIS

- diagnostyka komputerowa
- naprawy mechaniczne i elektryczne
- przygotowanie do rejestracji
- wymiana opon i wyważanie kół

66-400 Gorzów Wlkp.
ul. Marcinkowskiego 14 c
(koło pętli autobusowej)
tel. 95 729 05 25
602 154 826

ZAPRASZAMY!

r e k l a m a

SIMPLY CLEVER

ŠKODA



CZAS NA COŚ NOWEGO! MŁODSZA ŠKODA FABIA



JUŻ DOSTĘPNA W NASZYM SALONIE!

W zależności od wariantu i wersji zużycie paliwa w cyklu łączonym od 3,4 do 4,8 l/100 km emisja CO₂ od 88 do 110 g/km. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji na stronie www.skoda-auto



Odwiedzając nasz salon zwróć koniecznie uwagę na **największy w swojej klasie, niezwykle praktyczny** bagażnik Młodszej ŠKODY Fabia i zapytaj jak to możliwe, że stała się **jeszcze bardziej oszczędna w eksploatacji**.

A dlaczego nazywamy ją Młodszą? Spójrz na jej **desing i wyposażenie!** Są całkowicie odmodzone! Przekonaj się odwiedzając nasz Salon. Do Młodszej Škody Fabia dodajemy teraz pakiet przeglądów lub instalację LPG **za 1 zł!**

AUTO-BIS Sp. z o.o.
ul. Olimpijska 46
66-400 Gorzów Wlkp.
95 723 86 60
www.auto-bis.pl

r e k l a m a

DOM TOWAROWY METALPLAST

Ponad 24000 produktów

- NARZĘDZIA I ELEKTRONARZĘDZIA
- OKUCIA I AKCESORIA MEBŁOWE
- SYSTEMY DO SZAF I DRZWI PRZESUWNYCH
- ZAMKI, KLAMKI, UCHWYTY
- SAMOZAMYKACZE, SKRZYNKI NA LISTY
- ZAWIASY DRZWIOWE I MEBŁOWE
- OKUCIA CIĘŻKIE
- OKUCIA BRAMOWE I ELEMENTY OGRODZENIOWE
- ELEMENTY ZŁĄCZNE I ART. METALOWE
- AUTOMATYKA DO BRAM

Zapraszamy na zakupy!

Logos on the left: Makita, PROLINE, BLACK & DECKER, TRYTON, VULCAN, STANLEY, DEWALT, KEY, CAME, Nice.

66-400 GORZÓW WLKP., UL. GARBARY 9, TEL. 95 78 33 151 FAX 95 720 53 10 W. 24
 WWW.METALPLASTGORZOW.PL, MARKET@METALPLASTGORZOW.PL
 GODZINY OTWARCIA: 8⁰⁰-18⁰⁰; SOB. 9⁰⁰-14⁰⁰